DGP
Dziennik Gazeta Prawna

Magazyn na Weekend

Ile pracy nam zostało

/ M3

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (6), UNSPLASH (3)

USA / M6

Wszyscy zarabiają. Najwięcej Trump

Amerykańscy prezydenci rzadko odchodzili z urzędu z pustymi kieszeniami, ale żaden nie obławiał się tak bezwstydnie

pisze Emilia Świętochowska

Wywiad / M16

To się już nie sklei

Prędzej czy później przy Nowogrodzkiej wygra myślenie, że kontrola nad partią jest ważniejsza niż utrzymanie w niej wszystkich członków

mówi Jan Maria Jackowski

Społeczeństwo / M18

Wartość namacalna

Nie wszystko da się w pełni scyfryzować. A nawet jeśli się da, to nie zawsze należy

argumentuje Sebastian Stodolak

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 142 (6811), 24–26 LIPCA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 603965d7a6

Esej / M**8**

Nowy wielki Laos?

Niezależnie od skuteczności pogłębiania więzi w dziedzinie kultury polityczne związki Moskwy z Pekinem umacniają się coraz bardziej
zauważa Piotr Skwieciński

Wywiad / M**24**

Nikt nie wierzył w tę muzykę

Nasz przekaz szokował, bo taka natura hip-hopu – nie owijasz w bawełnę, nie bawisz się w dyplomację, tylko mówisz, co cię boli
mówi Piotr „Vienio" Więcławski

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Kto by się przejmował, skoro tak dobrze się bawimy

Jan Wróbel

Osoby biorące udział w wymianie zdań na tematy polityczne na platformie X to najprawdopodobniej masochiści. Może sadomasochiści. Politycy, obawiam się, podpadają pod tę regułę.

Posłanka umieszcza zdjęcie ze złowionym tuńczykiem. Rezultat? Zmasowana krytyka za brak wrażliwości. Poseł pisze o murzyńskich stopach w lotniskowym zlewie. Wybucha narodowa wrzawa w obronie lotniskowej higieny zmieszana z rasistowskim wzmożeniem (i ortograficznym: „Murzyn" piszemy dużą literą, panie pośle...). Inny z kolei poseł pisze o Morawieckim źle, jak to kolega. No to inni piszą, co się da złego, o piszącym. I tak dalej. Krótko mówiąc, napisanie posta oznacza, że wszyscy twoi wrogowie i fałszywi przyjaciele dostają do rąk okazję ugryzienia cię, zaorania, ośmieszenia i wysłania do lekarza wiadomej specjalizacji. I na dokładkę wypomną, nieraz jak najbardziej prawdziwie, wpadki, grzeszki i grzechy, które ci się przytrafiły.

Można powiedzieć, że po prostu tak się dzisiaj robi, i koniec kropka. Nie grasz w X i w filmiki, nie istniejesz. Naprawdę? Powiedzmy, że tacy mistrzowie tweetów i rolek jak Sikorski, Tusk, Morawiecki czy Mentzen najzwyczajniej w świecie nie mieliby do dyspozycji społecznościówek. Ich komunikaty do narodu umieszczano by na oficjalnych stronach ich partii. Reszty dowiadywalibyśmy się, jak drzewiej bywało, z publicznych wypowiedzi oraz z wystąpień sejmowych. Nie istnieliby? Nie mieliby wpływu na rzeczywistość?

Mieliby. Szczególnie ci, którzy są u władzy albo są blisko jej przejęcia. Potrzeba popisywania się własnym poczuciem internetowego humoru nie wynika z konieczności, lecz z samouwielbienia. Zamieszczony post przypomina otwarte okno, przez które naród wrzuca piszącemu śmiecie do pokoju. I fajnie, niech nienawidzą, byle pisali.

W tym sztucznie produkowanym zgiełku umykają nam poważne błędy naszej polityki. Wypadliśmy z gry w sprawie przyszłości Ukrainy. Unia Europejska majstruje przy ETS – ładnie się o tym mówi, ale nadal topią one sporą część przemysłu. Nad Wisłą biadamy nad cenami paliwa, warto sobie uświadomić, że ETS-y są dla nas kolejną cieśniną Ormuz, którą minujemy na własne życzenie. Kto by się jednak przejmował, skoro tak dobrze bawimy się na X. ©℗

FOT. FRANCIS MASCARENHAS/REUTERS/FORUM

Indie / M**12**

Karaluchy kontra establishment

Zaczęło się od wypowiedzi prominentnego sędziego oraz wycieku arkuszy egzaminacyjnych. Finałem może być destabilizacja Indii albo ich przyspieszona modernizacja
pisze Witold Sokała

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Agata Eichler,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 603965d7a6

Ile pracy nam zostało

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (6), UNSPLASH (3)

Prawdziwym zagrożeniem nie są obecne możliwości algorytmów, lecz to, że dużą część naszej podmiotowości oddaliśmy maszynom na długo przed powstaniem pierwszych modeli językowych

Izabela
Lipińska
Iwo
Zmyślony

Pytanie, czy sztuczna inteligencja zabierze nam pracę, jest źle postawione. Fałszywie zakłada bowiem, że praca to proces wykonywany całościowo przez człowieka, aż tu nagle pojawia się technologia, która zaczyna go przejmować. Tymczasem znaczna część pracy, w tym umysłowej, została nam odebrana dużo wcześniej. Zanim modele językowe weszły do biur, przez dekady rozbijano pracę na coraz to mniejsze, mierzalne, powtarzalne i przewidywalne kawałki. AI nie tyle wprowadza więc nowy porządek, ile wchodzi w porządek formowany od dawna.

Aby to zauważyć, trzeba jednak się cofnąć co najmniej do połowy XIX w. – do czasu, gdy coraz powszechniejsze stawało się projektowanie procesów organizacji pracy, by była coraz tańsza, łatwiejsza do delegowania, organizowania, mierzenia, liczenia i powtarzania. Wówczas przewagę zaczęły osiągać te firmy, w których najłatwiej było standaryzować i skalować procesy, co służyło wypieraniu z rynku firm tradycyjnych, a co za tym idzie – dawnego, całościowego modelu pracy.

Krzesło i drzewo na drodze ku automatyzacji

Redukowanie pracy człowieka do zestawu powtarzalnych, mechanicznych czynności – czyli doprowadzony do perfekcji przez Henry'ego Forda tayloryzm – bynajmniej nie pojawiło się w próżni. Już Adam Smith zachwycał się podziałem procesu pracy, dzięki któremu kilku pracowników manufaktury szpilek było w stanie wytworzyć setki razy więcej wyrobów niż konkurencja.

Pół wieku później Charles Babbage, skądinąd jeden z praojców koncepcji komputera, dodał do tego swój zachwyt nad optymalizacją kosztów, która się z tym wiąże – wyizolowanie kilku zadań trudnych pozwala zatrudnić jednego wysoko opłacanego eksperta, podczas gdy całą resztę mogą wykonywać słabiej opłacani juniorzy. Krzesło nr 14 Thoneta (1859) to jedna z ikon nowoczesnego wzornictwa przemysłowego – nie tyle ze względu na swoją estetykę, ile przez na wskroś nowoczesną organizację procesu, który za nim stoi. Składało się z niewielkiej liczby standaryzowanych ele- ▷

eprasa.pl 603965d7a6

mentów, które można było tanio, masowo wytwarzać i łatwo transportować w płaskich paczkach. Dzięki temu mebel przestał być dziełem konkretnego stolarza, a stał się wynikiem procesu produkcyjnego podzielonego na atomowe zadania. Do ich wykonania wystarczało wielu tanich w zatrudnieniu, bo nisko wykwalifikowanych i łatwych do przeszkolenia pracowników, którzy nie musieli już rozumieć całości procesu produkcji, lecz jedynie poprawnie trzymać się standardu, wykonując swój niewielki fragment.

Równolegle istniały jednak inne wyobrażenia tego, czym jest organizacja i jak powinna funkcjonować. Daniel McCallum – superintendent, czyli ktoś w rodzaju dyrektora operacyjnego New York and Erie Railroad – przyrównywał zarządzaną przez siebie organizację do drzewa. W 1855 r. opracował diagram, który był zarazem schematem organizacyjnym, mapą budowanej sieci kolejowej oraz instrukcją obiegu poleceń i raportów firmy liczącej wówczas ponad 4,5 tys. pracowników.

Zarząd nie jest tu na szczycie, lecz u fundamentów. Stanowi głębokie korzenie, z których niczym pnie i gałęzie wyrastają wszystkie procesy operacyjne zwieńczone stanowiskami pod postacią liści. Ten organiczny system przypomina, że fragmentaryzacja i atomizacja pracy nie były prawem natury, dziejową koniecznością ani jedynym możliwym rozwiązaniem. Był to wybór projektowy, ale też moralny, a nawet antropologiczny, podyktowany wygodą związaną z mierzeniem i organizacją pracy, który w kolejnych dekadach tak się znormalizował, że dziś już uchodzi za oczywistość.

Odseparowanie człowieka od wykonywanej pracy – od procesu jej organizacji, od tego, co się w tym procesie wytwarza, a także od narzędzi czy innych środków produkcji, z których musi korzystać, a na końcu od zysków, które generuje – było w sercu diagnozy stawianej przez Karola Marksa w 1844 r. Alienacja ma przyczyny czysto ekonomiczne, ale skutki są psychiczne, emocjonalne, a nawet egzystencjalne. To właśnie Marks zauważył, że praca może nas odczłowieczać – przestaje być ekspresją naszego potencjału, a staje się formą wyzysku pod przymusem ekonomicznym. Cała złożoność człowieka zostaje zredukowana do wąskiej przydatności – ręki, która wykonuje jeden, powtarzalny ruch, umysłu, który pamięta jeden zestaw procedur.

Oczywiście nie chodzi o to, by romantyzować przeszłość – przed epoką przemysłu doświadczenie pracy było całościowe, ale także ciężkie i momentami opresyjne. To jednak nie znaczy, że musimy wybierać między opresyjną całością a efektywnym fragmentem. Stawką organizacji pracy jest to, czy pozwala człowiekowi widzieć sens i efekt własnego działania, oraz to, jaka relacja łączy go z tym, co wykonuje. I czasem okazuje się, że cięższa, ale sensowna praca męczy mniej niż działanie wygodne, ale jałowe.

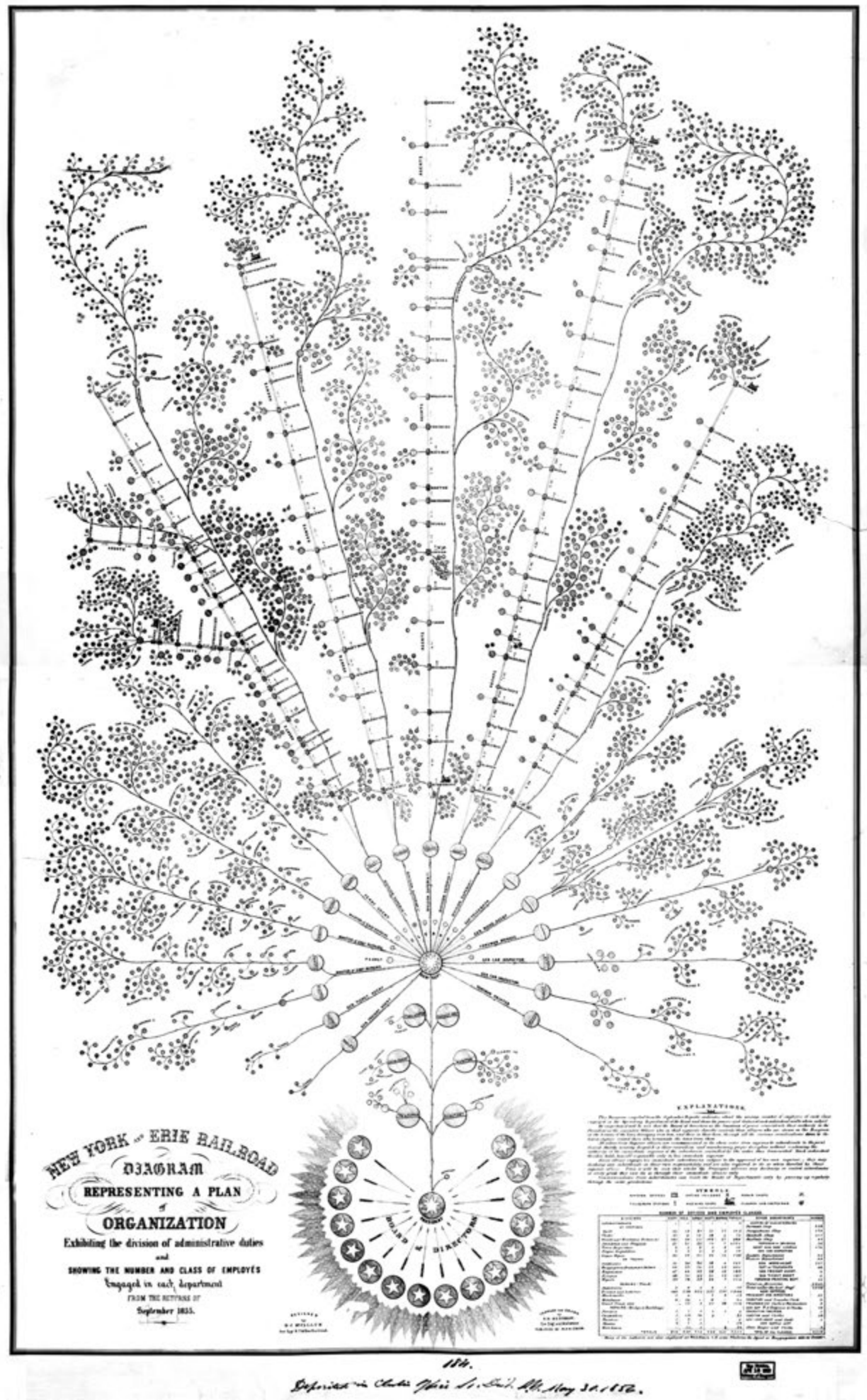

FOT. DANIEL MCCALLUM & GEORGE HOLT HENSHAW, 1855/DOMENA PUBLICZNA

Schemat organizacyjny firmy kolejowej New York and Erie Railroad. 1855 r.

Człowiek dostarczający

Z tej perspektywy sztuczna inteligencja to nie rewolucja, tylko kolejny etap odczłowieczania. AI wnika w środowisko, które przez prawie dwa wieki przygotowywano pod to, co dziś spędza sen z powiek wielu pracownikom. Najłatwiej bowiem automatyzować pracę, którą wcześniej rozbito na fragmenty, opisano procedurą i odseparowano od szerszego kontekstu. Skutki nie są tylko gospodarcze, lecz także społeczne, a nawet antropologiczne – sprowadza się nas do tego, co umiemy wytworzyć i dostarczyć.

W pedagogice od dawna wiadomo, że praca nie sprowadza się do wymiaru ekonomicznego, użytkowego czy prawnego. Obejmuje także wymiar egzystencjalny, społeczny i moralny. Współczesny rynek zachowuje jednak najchętniej to, co da się policzyć i zoptymalizować. Cała reszta zaczyna wyglądać jak zbędny balast, choć właśnie to ona często decyduje o tym, czy człowiek doświadcza swojej pracy jako sensownej, a w efekcie – czy pracodawca otrzymuje wartościowego pracownika. Bo pracownik

eprasa.pl 603965d7a6

Scenariusz pełnej automatyzacji zakłada, że gospodarka będzie potrzebować produktów i usług wytwarzanych przez AI bez udziału ludzi. Kto na samym końcu będzie za nie płacił, jeżeli automatyzacja oznacza masowe bezrobocie, a co za tym idzie – globalny spadek popytu?

nie przychodzi do firmy gotowy. To środowisko może w nim aktywować określone cechy i zachowania – zarówno te, które pozytywnie wpływają na tak oczekiwaną przez biznes efektywność, jak i te, które tę efektywność po cichu zabijają. Okazuje się, że to właśnie te uznawane za balast obszary aktywują w ludziach inicjatywę, lojalność, innowacyjność czy zaangażowanie, które później przekładają się na mierzalne wartości. Kiedy ich nie ma, słupki spadają i ten, kto nie patrzy na wszystkie wymiary pracy, nie wie dlaczego.

Fragmentaryzacja odbiera także domknięcie. Człowiek przestaje widzieć całość zadania, nie obserwuje efektu własnego działania, coraz słabiej czuje związek między tym, co potrafi, a tym, co realnie wnosi. Praca w takim układzie staje się coraz uboższa. Nie daje możliwości wybrzmienia sprawczości człowieka. I być może nawet pracodawca jest zadowolony z realizacji konkretnych wskaźników, jednak nie wie, jak mogłoby być, gdyby pozwolić pracownikowi na sprawczość.

Wyrwa w życiu

A kiedy znika sprawczość, pojawia się wyrwa. Nie da się jej po prostu unieważnić ani zagłuszyć dowolnym substytutem, ponieważ obszar pracy jest dla człowieka konstytutywny, czyli nieprzypadkowy, wchodzący w ludzką naturę. Jest jak fundament, a jak wiadomo, bez fundamentów budowla się chwieje. Można próbować wypełnić tę wyrwę, ale rozrywka, konsumpcja czy inna chwilowa ulga nie przywracają sensu, poczucia bycia potrzebnym, bycia częścią wspólnoty, twórcą rezultatu, który zmienia świat na lepsze. A bez tego człowiek gaśnie. Dlatego skutki tej wyrwy nie kończą się w biurze czy hali produkcyjnej, lecz rozlewają się dalej.

W badaniach nad przywiązaniem do organizacji wyróżniono m.in. taki typ związania z pracą, który nie wynika z chęci czy normy, lecz z konieczności – człowiek przychodzi, bo musi. Tego rodzaju układ rzadko rodzi inicjatywę, dużo częściej uruchamia drobne formy sabotażu: nieżyczliwość, eskalowanie cudzych błędów, bierny opór. Łatwo czytać to wyłącznie jako moralną słabość pracownika, ale często jest to rozpaczliwa próba odzyskania minimalnej sprawczości w środowisku, które ją systematycznie odbiera.

Czasem skutki przyjmują postać pozornie łagodniejszą. Renesans domowego rzemiosła, pieczenia chleba, stolarki, ceramiki czy ogrodnictwa bywa przedstawiany jako niewinny zwrot ku analogowej przyjemności. A jeśli jest w nim coś więcej? Być może po godzinach próbujemy odtworzyć dokładnie tę strukturę, którą praca zawodowa utraciła: całość procesu, opór materii, widzialny efekt, poczucie, że coś zostało doprowadzone do końca przez nasze własne działanie.

Czego nie umie AI?

Pytanie, czy AI zabierze nam pracę, nie jest właściwe z jeszcze jednego powodu: milcząco zakłada, że niemal każdy potrzebny gospodarczo rodzaj pracy może być wykonany bez udziału człowieka – za pomocą odpowiednio rozwiniętej technologii.

Na razie żaden dostawca AI nie bierze jednak odpowiedzialności za wyniki jej działań. Nadal wymaga się nadzoru ludzkiego eksperta (tzw. zasada człowieka w pętli – Human-in-the-loop). Wiara, że to się zmieni, opłaca się dostawcom, którzy nas zapewniają, że błędy, jakie popełnia dziś AI, zostaną wkrótce wyeliminowane. Czy na pewno? Wprawdzie laboratoryjne benchmarki (jak np. GDPval) przy wyizolowanych zadaniach wskazują, że najlepsze modele zbliżają się do ludzkich ekspertów jakością wykonania przy ułamku kosztu, ale jak wypadają realne testy środowiskowe sprawdzające pracę osadzoną w kontekście? W jedynym takim randomizowanym badaniu kontrolowanym (METR, 2025) doświadczeni programiści pracujący na własnym, dobrze znanym kodzie byli z narzędziami AI o 19 proc. wolniejsi. Jednocześnie byli jednak przekonani, że są o 20 proc. szybsi. To dobrze pokazuje różnicę między zadaniem oderwanym od kontekstu a pracą osadzoną w całości procesu.

Do oddelegowania do AI najlepiej nadają się zadania wystarczająco typowe, stabilne i powtarzalne, by do ich wykonywania można było przetrenować maszyny na dobrze oczyszczonych danych historycznych. Najmniej – zadania nietypowe, silnie kontekstowe, wymagające zdolności do adaptacji, uczenia się w procesie oraz przetwarzania danych niedostępnych maszynom. Zdolność tę nazywamy inteligencją płynną (fluid intelligence), a dane – wiedzą niejawną (tacit knowledge) lub ucieleśnioną (embodied knowledge). Przykładem biznesowych zadań, w których to te cechy grają krytyczną rolę, są wszelkie procesy głębokiej innowacji czy zarządzania zmianą – sytuacje, gdy firma wchodzi na nowy rynek, rozwija nowy produkt czy przechodzi przez kryzys.

Scenariusz pełnej automatyzacji zakłada, że gospodarka będzie potrzebować produktów i usług wytwarzanych przez AI bez udziału ludzi. Kto na samym końcu będzie za nie płacił, jeżeli automatyzacja oznacza masowe bezrobocie, a co za tym idzie – globalny spadek popytu? Czy dostawcy AI planują dzielić się zyskami w postaci godnej pensji dla wszystkich mieszkańców globu? A nawet jeżeli, to zyskami z czego?

Rozważania te wspierają wnioski z badań prowadzonych na Politechnice Rzeszowskiej przez zespół pod kierunkiem dr. inż. Tomasza Żabińskiego. We współpracy z firmami klastra Doliny Lotniczej przeanalizowano 50 kluczowych stanowisk pracowniczych pod kątem potencjału do automatyzacji z pomocą AI oraz humanoidalnych systemów robotycznych. Wbrew obawom podsycanym przez media nie zidentyfikowano ani jednej roli, która przy dzisiejszych realiach gospodarczych oraz przy rozpoznanych ograniczeniach AI dałaby się zautomatyzować w całej rozciągłości. Innymi słowy – dziś wciąż niezbędny jest człowiek.

Nie oznacza to jednak, że nikt nie straci pracy z powodu AI. Wielu już straciło, chociażby rykoszetem. Dodatkowo nie każda firma potrzebuje jakości, którą zapewnia człowiek – inaczej niż przedsiębiorstwa Doliny Lotniczej wiele firm bazuje na prostych, powtarzalnych procesach i konkuruje przede wszystkim pod względem kosztów oraz tempa obsługi. Dotyczy to każdej branży – od przetwórstwa żywności po oprogramowanie. Właśnie tam najłatwiej uruchamia się automatyzacja, która wypiera ludzi, ale nie przynosi proporcjonalnego wzrostu jakości. To wariant ekonomicznie najgorszy: społeczne koszty wyparcia bez adekwatnych korzyści z wykorzystania kosztownej – także politycznie i ekologicznie – technologii.

Poza tym dla szukających oszczędności firm nierzadko AI staje się jedynie wygodnym pretekstem – z jednej strony pomaga ciąć koszty, a z drugiej budować wizerunek firmy innowacyjnej. Taki proceder doczekał się nawet nazwy – AI washing. Do tego strach przed AI jest firmom bardzo na rękę, bo dyscyplinuje ludzi – przerażony pracownik jest mniej roszczeniowy, a krótkoterminowo bardziej efektywny.

Dalszy ciąg nie rozstrzygnie się w laboratoriach rozwijających modele, lecz w samym sposobie projektowania struktur pracy. Domyślna, pesymistyczna trajektoria to dalsza automatyzacja „so-so" – wariant, w którym firmy nadal tną procesy na coraz mniejsze odcinki i stopniowo oddają je maszynom, godząc się na patologie i spadek jakości w imię redukcji kosztów. Możliwy jest jednak inny kierunek – taki, w którym człowiek z pomocą narzędzi odzyskuje kontrolę nad całością procesu, a technologii oddaje wyłącznie mechaniczne wykonawstwo. Różnica między tymi scenariuszami wynika nie z możliwości technologii, lecz z decyzji o tym, czy praca ma dalej rozpadać się na fragmenty, czy zostać na nowo zorganizowana wokół odpowiedzialności za efekt. Te decyzje zapadają właśnie teraz – niestety w większości bezrefleksyjnie – wszędzie tam, gdzie ktoś liczy, co jeszcze opłaca się wyciąć. Ale to nie oznacza, że nie można tego zmienić.

Co się naprawdę kruszy

Stawką nie jest wyłącznie liczba etatów, ani nawet sama skala bezrobocia. Kruszy się przede wszystkim droga wejścia do zawodu. Jak pokazuje analiza amerykańskich danych płacowych (Brynjolfsson i zespół, Stanford), od czasu upowszechnienia generatywnej AI względne zatrudnienie pracowników w wieku 22–25 lat w najbardziej eksponowanych na zmiany zawodach spadło o kilkanaście procent, podczas gdy u starszych w tych samych zawodach pozostało stabilne. Jeśli AI przejmuje zadania proste, powtarzalne i początkowe, to znikają szczeble, na których człowiek uczy się kontekstu, odpowiedzialności i sensu całego procesu. W debacie publicznej łatwo się skupić na pytaniu, ile miejsc pracy zniknie, a tymczasem bardziej podstawowe pytanie brzmi: kto będzie miał gdzie się nauczyć zawodu, jeśli coraz więcej pierwszych etapów zostanie zautomatyzowanych?

To prowadzi do jeszcze ważniejszego. Wiele kompetencji da się dziś wspomagać technologicznie albo delegować na technologię, ale trudniej przekazać technologii odpowiedzialność rozumianą nie jako formalny podpis pod wykonanym zadaniem, lecz jako zdolność rozumienia kontekstu, przewidywania skutków, ponoszenia konsekwencji i bycia kimś, do kogo można kierować roszczenie lub zaufanie. Jeśli z rynku pracy znikną etapy, na których człowiek dochodzi do takiej odpowiedzialności, to problem ujawni się z opóźnieniem. Organizacje odkryją nie tylko, że mają mniej juniorów, lecz także to, że za kilka lat nie będą miały komu przekazać ról seniorsko-decyzyjnych. Właśnie to może się okazać jednym z najpoważniejszych, a zarazem najmniej widocznych skutków obecnej automatyzacji. ©℗

FOT. WOJTEK BIAŁY/MAT. PRASOWE

Izabela
Lipińska
filozof, pedagog pracy, twórca rozwiązań AI w ramach autorskiego podejścia ontologicznej adekwatności, członek instytutu badawczego GAIA

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Iwo
Zmyślony
wykładowca studiów podyplomowych i studiów MBA na Uczelni Łazarskiego. Research fellow na Politechnice Rzeszowskiej im. Ignacego Łukasiewicza. Autor podcastu „Limity AI" MIT Sloan Management Review Polska

eprasa.pl 603965d7a6

Świat

Wszyscy zarabiają. Najwięcej Trump

Amerykańscy prezydenci rzadko odchodzili z urzędu z pustymi kieszeniami, ale żaden nie obławiał się tak bezwstydnie jak Donald Trump

Emilia
Świętochowska

Mar-a-Lago, luksusowy ośrodek wypoczynkowy i prywatna rezydencja Donalda Trumpa, to od kilku sezonów najgorętszy adres wśród konserwatywnych elit. Dziesiątki kurortów na Florydzie oferują prywatne plaże, pola golfowe, spa i fine dining, ale tonący w złoconym przepychu kompleks kusi nie tylko udogodnieniami premium, lecz przede wszystkim szansą na zaczepienie się w kręgu towarzyskim prezydenta. Choć na kartę członkowską trzeba wyłożyć milion dolarów, kolejka oczekujących liczy podobno setki nazwisk. W czasie kampanii darczyńcy zostawiali w Mar-a-Lago małe fortuny na kolacjach fundraisingowych, a tuż po wyborach pielgrzymowali tam oligarchowie z Doliny Krzemowej, by złożyć hołdy gospodarzowi. Od zaprzysiężenia nazywana „zimowym Białym Domem" posiadłość przeżywa rekordowe oblężenie: w 2025 r. jej przychody sięgnęły 77,5 mln dol., o ponad połowę więcej niż rok wcześniej. Biznesową wartość prezydentury widać jeszcze ostrzej, gdy cofniemy się do roku 2014, ostatniego przed wkroczeniem Trumpa na główną scenę Waszyngtonu. Klub zarobił wówczas „tylko" 15 mln dol. Jego właściciel nie miał skrupułów w wyciskaniu politycznej dywidendy: między pierwszą a drugą inauguracją wpisowe poszło w górę 10-krotnie. Boom przeżywa nie tylko Mar-a-Lago. Od Palm Beach przez Szkocję po Dubaj zbudowane przez prezydenta imperium golfowo-hotelowe zarobiło w zeszłym roku ok. 491 mln dol. (wzrost o 15 proc.).

A to zaledwie część strumienia przychodów. Z oświadczenia majątkowego złożonego przez Trumpa na początku lipca wynika, że nieruchomości – biznes, który uczynił z niego miliardera – zostały przyćmione przez przedsięwzięcia kryptowalutowe. W pierwszym roku drugiej kadencji portfel amerykańskiego przywódcy powiększył się o 2,2 mld dol., z czego aż 1,4 mld przypadło na aktywa cyfrowe, które zyskały na wartości dzięki przyjaznemu dla branży podejściu administracji. Dla porównania – w 2024 r., przed powrotem do Białego Domu, było to 622 mln dol., czyli prawie cztery razy mniej.

Wirtualne gadżety

Kluczowym instrumentem pozwalającym Trumpom pomnażać rodzinne bogactwo jest World Liberty Financial (WLF). To oparta na technologii blockchain platforma, na której użytkownicy mogą kupować i wymieniać wirtualne tokeny.

Nestor użyczył projektowi twarzy, ale za sterami stanęli jego synowie Donald Jr. i Eric, którzy na czas prezydentury przejęli zarządzanie rodzinnym biznesem. Do branży wciągnęła ich para szerzej nieznanych przedsiębiorców z branży krypto oraz dobry znajomy Trumpów Zach Witkoff, syn Steve'a, który dziś pełni funkcje wysłannika administracji na Bliski Wschód i emisariusza w kontaktach z Rosjanami. Rozległa siatka kontaktów Witkoffa seniora przydała się w rozkręcaniu interesu.

Gdy w październiku 2024 r. platforma odpala własną walutę cyfrową – $WLFI – inwestorzy nie wykazują nią wielkiego zainteresowania. Wszystko się jednak zmienia w dniu wyborów. Na tokeny nagle rzucają się inwestorzy z całego świata. Zanim minie pierwszy kwartał prezydentury, 28 tys. graczy wyda na nie 550 mln dol. Na konto pierwszej rodziny trafia trzy czwarte wpływów ze sprzedaży każdego żetonu.

Rekord zakupowy należy do Justina Suna, chińskiego magnata krypto i założyciela platformy Tron, który na pakiet $WLFI wyłożył 75 mln dol. Nie zrobił tego wyłącznie z wiary, że inwestycja w cyfrowe żetony zwróci mu się z solidną nawiązką. Za rządów Joego Bidena Komisja Papierów Wartościowych i Giełd (Securities and Exchange Commission – SEC) pozwała Suna, zarzucając mu m.in. manipulowanie kursem swojej kryptowaluty i ukrytą promocję z udziałem influencerów. Prokuratura federalna miała podejrzenia jeszcze cięższego kalibru – ułatwianie prania pieniędzy terrorystom i gangsterom. Po zmianie warty w Białym Domu wszystkie kłopoty Suna zniknęły. Zdominowany przez sojuszników Trumpa zarząd SEC wycofał sprawę z sądu, tłumacząc, że jej polubowne załatwienie leży w interesie publicznym. Wpisywało się to w odwrót od restrykcyjnej polityki poprzedniej administracji, która uważała, że wiele aktywów cyfrowych powinno podlegać przepisom o obrocie papierami wartościowymi.

Trumpowskie tokeny sprzedają się tak dobrze, że synowie prezydenta idą za ciosem i wypuszczają nowy produkt – stablecoina o nazwie USD1. To rodzaj cyfrowej waluty, której wartość jest powiązana z dolarem, co ma ją chronić przed gwałtownymi wahaniami typowymi dla wielu innowacji finansowych (emisja np. 100 tokenów musi odpowiadać rezerwom o wartości 100 dol.). Watchdogi i demokraci w Kongresie nasilają oskarżenia o konflikt interesów: za pośrednictwem spółek córek gospodarz Białego Domu zarabia na aktywach, których cena i perspektywy rynkowe w dużej mierze zależą od jego polityki. Grupa senatorów z Elizabeth Warren na czele alarmuje Rezerwę Federalną, że zaangażowanie prezydenta w biznes krypto „może stworzyć bezprecedensowe zagrożenie dla systemu finansowego".

Trumpowie nie tylko ignorują krytykę, lecz także po cichu wykorzystują szał na tokeny, by ubić swój najbardziej dochodowy interes. Cztery dni przed inauguracją sprzedali 49 proc. udziałów w World Liberty Financial firmie szejka Tahnoona bin Zayeda Al Nahyana, członka emirackiej rodziny królewskiej i doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego rządu w Abu Zabi. Transakcja opiewała na 0,5 mld dol.; 375 mln dol. miało zasilić konto pierwszej rodziny USA, a reszta – trafić do jej wspólników. Przez rok udało się utrzymać umowę w sekrecie. Jej kulisy odsłoniło dopiero śledztwo dziennikarzy „Wall Street Journal".

To po prostu korupcja

Tahnoon uchodzi za jedną z najbardziej wpływowych postaci na Bliskim Wschodzie i architekta rozbudowanego aparatu inwigilacji ZEA. Otaczającej go aurze tajemniczości – oraz nieodłącznym ciemnym okularom – zawdzięcza przydomek „szejka szpiega". Oprócz nadzorowania wywiadu panuje nad obszarami, gdzie polityka zlewa się z kapitałem: zawiaduje państwowym funduszem inwestycyjnym, którego majątek zbliża się do 2 bln dol.; zasiada na fotelu prezesa First Abu Dhabi Bank, największej instytucji pożyczkowej w naftowym królestwie; kieruje International Holding Company, konglomeratem, którego portfolio obejmuje branże od rybołówstwa po opiekę zdrowotną. Co najmniej od dekady pośredniczy też w relacjach Waszyngtonu z Abu Zabi w takich kwestiach jak zwalczanie terroryzmu.

Spotkanie Donalda Trumpa z szejkiem Tahnoonem. 18 marca 2025 r.

W ostatnich latach obsesja szejka na punkcie technologii przeradza się w nową misję – obrócenia Zjednoczonych Emiratów Arabskich w mocarstwo AI. Tahnoon zaczął zabiegać o pozyskanie najbardziej zaawansowanych czipów Nvidii za rządów Bidena, ale realizację jego planów skomplikowała zaostrzająca się rywalizacja geopolityczna. Przedstawiciele Białego Domu się obawiali, że jeśli poluzują restrykcje eksportowe, cenne know-how mogłoby wyciec do Chin, które rozpychają się w strategicznych sektorach ZEA. Głosy sprzeciwu dobiegały również z Kapitolu zarówno od demokratów, jak i od republikanów. W ogniu kontrowersji znalazła się kontrolowana przez szejka spółka G42, która ma być kołem zamachowym transformacji gospodarczej jego kraju. Wątpliwości wzbudza zwłaszcza jej współpraca z objętym sankcjami koncernem telekomunikacyjnym Huawei, którego inżynierowie projektowali w ZEA pierwsze centra trenowania AI. CIA przygotowała nawet poufny raport na temat prezesa G42 Peng Xiao, urodzonego w Chinach, ale wykształconego w Stanach Zjednoczonych biznesme-

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. DANIEL TOROK/WHITE HOUSE/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

na technologicznego. Dla emirackiego paszportu Peng zrzekł się obywatelstwa amerykańskiego. Chociaż G42 ogłosiło, że zerwie współpracę z podmiotami z Państwa Środka i wymieni ich sprzęt na zachodni, ludzie Bidena nie zmiękczyli kursu.

Drzwi uchyliły się wraz z powrotem Trumpa do Białego Domu. Od tej pory oficjalne sprawy będą się nieustannie przenikać z rodzinnymi interesami. Szejk Tahnoon nawiązuje przyjazną relację ze Steve'em Witkoffem i spotyka się z wiodącymi przedsiębiorcami z branży technologicznej, aby przekonać ich do swojej wizji stworzenia w ZEA gigantycznej sieci centrów danych obsługujących systemy AI, a z menedżerami TSMC i Samsunga rozmawia o budowie fabryk produkujących półprzewodniki. Ukoronowaniem tych zabiegów jest wizyta w Białym Domu. W tym samym czasie synowie Trumpa i Witkoff junior objeżdżają naftowe królestwa, zbierając fundusze na rozwój platformy World Liberty Financial.

W maju dochodzi do splotu zdarzeń, który doskonale ilustruje, jak w dobie Trumpa zaciera się granica między państwem a biznesem. Na konferencji krypto w Dubaju Eric i Zach ogłaszają, że MGX, kolejne ramię inwestycyjne szejka Tahnoona, wykorzysta ich stablecoina do przeprowadzenia wartej 2 mld dol. transakcji z największą na świecie giełdą krypto Binance. Dwa tygodnie później rząd w Abu Zabi uzyskuje zgodę administracji na import 500 tys. najbardziej zaawansowanych chipów Nvidii. Prawie jedna piąta z nich ma trafić do G42. W zamian Emiratczycy obiecują zainwestować setki miliardów dolarów w amerykański przemysł, m.in. produkcję półprzewodników i energetykę. Porozumienie zostaje uznane za sukces naftowego mocarstwa, któremu po długich staraniach udało się w końcu przełamać obawy Waszyngtonu związane z bezpieczeństwem narodowym.

Osiem miesięcy później, gdy zakup prawie połowy udziałów w World Liberty Financial przez szejka wychodzi na jaw, eksperci i opozycja przekonują, że trudno o bardziej jaskrawy przykład nadużycia stanowiska dla własnych interesów. „To po prostu korupcja" – oburza się senatorka Elizabeth Warren. „W historii Ameryki nie było dotąd niczego podobnego. Ta transakcja narusza konstytucyjny zakaz przyjmowania korzyści przez urzędników, podstawowe standardy etyczne i zdrowy rozsądek" – potwierdza Robert Weissman, prezes progresywnej organizacji Public Citizen. W imieniu Trumpa odpowiedział im prawnik Białego Domu David Warrington: „Prezydent wykonuje swoje konstytucyjne obowiązki w sposób etyczny, a sugerowanie, że jest inaczej, wynika z niewiedzy albo ze złej woli".

Wielu amerykańskich przywódców miało wielomilionowe majątki przed objęciem urzędu – m.in. Andrew Jackson, Herbert Hoover, John F. Kennedy, Lyndon Johnson. Niektórzy kończyli kadencję w gorszej sytuacji finansowej, niż rozpoczynali – jak Harry Truman, którego jedynym źródłem dochodu była emerytura wojskowa (skłoniło to jego następcę Dwighta Eisenhowera do przeforsowania emerytury prezydenckiej). Po wygranych wyborach politycy biznesmeni na ogół przenosili swoje aktywa do ślepego funduszu powierniczego zarządzanego przez niezależnych profesjonalistów, by uniknąć podejrzeń o konflikt interesów. Trump ostentacyjnie zerwał z tą praktyką.

Zarabiają najwięksi

Według liczącego prawie 1000 stron oświadczenia majątkowego prezydenta w 2025 r. World Liberty Financial dołożyła do rodzinnej fortuny w sumie 800 mln dol. Za kolejne 653 mln dol. odpowiada inne przedsięwzięcie krypto uruchomione tuż przed inauguracją: memecoiny. To inspirowane memami i viralowymi trendami cyfrowe gadżety, na których dorabiają się otrzaskane z branżowymi trikami grupki. Zwabieni wizją sowitego zwrotu amatorzy najczęściej kończą na minusie. Tak właśnie było w przypadku memecoina $TRUMP. Jak szacuje firma analityczna Chainalysis, 58 właścicieli dużych portfeli zgarnęło po ponad 10 mln dol. Większość z nich sprzedała tokeny w apogeum rynkowej euforii, gdy kurs żetonu przebijał 70 dol. 764 tys. drobnych inwestorów, którzy w nadziei na odbicie dłużej pozostali w grze, poniosło straty. Od dnia debiutu cena prezydenckiego memecoina spadła o 80 proc. (do niespełna 1,6 dol.). Taki sam spadek zanotowała kryptowaluta $WLFI (obecnie kosztuje mniej niż 6 centów). Dla ożywienia rynku Trump co jakiś czas organizuje specjalne akcje promocyjne. Gdy w zeszłym roku ogłosił, że posiadacze największej liczby tokenów $TRUMP dostaną zaproszenie na kolację w jego klubie golfowym, zacięty wyścig o miejsce przy stole chwilowo wywindował ich cenę.

Gdy majątek rodziny Trumpów pęczniał, administracja podejmowała kroki, aby zapewnić jej projektom sprzyjające warunki rozwoju. SEC wydała nową interpretację dotyczącą memecoinów, zaliczając je do przedmiotów kolekcjonerskich, których nie dotyczy prawo regulujące papiery wartościowe. Z inicjatywy Białego Domu Kongres uchwalił GENIUS Act, czyli ustawę ustanawiającą ramy prawne dla stablecoinów, która ma rozszerzyć ich wykorzystywanie, a jednocześnie ograniczyć ryzyko dla konsumentów i systemu finansowego. Nominaci Trumpa kierujący prokuraturą i nadzorem finansowym umorzyli dużą część dochodzeń przeciwko biznesom kryptowalutowym i zasygnalizowali, że będą się z branżą obchodzić łagodnie. Wyrazem zmiany podejścia było rozwiązanie specjalnego zespołu śledczych, który za Bidena skonfiskował warte miliardy dolarów cyfrowe żetony pochodzące z nielegalnych aktywności. Kilku tokenowym potentatom Trump wyczyścił kartotekę.

Najgłośniejszy przypadek to najbogatszy człowiek branży krypto Changpeng Zhao, założyciel Binance'a, który w 2023 r. przyznał się m.in. do naruszenia ustawy o praniu pieniędzy. Jego giełda obsługiwała klientów figurujących na czarnych listach: objętych sankcjami Rosjan i północnych Koreańczyków, Hamas, Al-Kaidę, handlarzy fentanylu, sprzedawców dziecięcej pornografii... Zhao zawarł z prokuraturą ugodę, na mocy której odsiedział cztery miesiące w więzieniu i zapłacił grzywnę w wysokości 4,3 mld dol. Ułaskawienie otwiera mu drogę do ponownego przejęcia kontroli nad Binance'em. Inny przykład to darowanie kary Rossowi Ulbrichtowi, twórcy nieistniejącej już darknetowej platformy Silk Road, na której za bitcoiny kupowano narkotyki. – Wojna z krypto dobiegła końca – oświadczyła rzeczniczka Białego Domu Karoline Leavitt.

Sam Trump ciągle zapewnia, że nie miesza się w rodzinne finanse. Do swojej nowej, tokenowej fortuny ma dość nonszalancki stosunek – podobno nawet nie wiedział o jej rozmiarze przed publikacją zeznania majątkowego. – Jestem naprawdę dobrym biznesmenem. Zarobiłem w życiu niewiarygodnie dużo pieniędzy, więcej, niż kiedykolwiek przypuszczałem, że zarobię. A teraz pozwalam innym nimi obracać – tłumaczył. Zarzuty, że bogaci się na prezydenturze, skwitował: giełda idzie w górę, więc wszyscy zarabiają. ©℗

Więcej tekstów tej autorki: skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Nowy wielki Laos?

Piotr Skwieciński

„Oprzyj się na mnie: teraz Rosjanie będą pomagać Chinom" – mówi. „No, zobaczymy, kto komu będzie pomagał" – słyszy w odpowiedzi. To dialog młodego (i atrakcyjnego) rosyjskiego enkawudzisty z młodą (i atrakcyjną) chińską komunistką w najnowszej, a zarazem pierwszej rosyjsko-chińskiej produkcji filmowej – sensacyjnym „Czerwonym jedwabiu". Akcja filmu dzieje się w 1927 r. i wyraźnie sugeruje widzowi, że ta scena proroczo zapowiada przyszłość. Czyli to, co dla nas jest teraźniejszością.

„Czerwony jedwab" wyprodukowano z wielkim rozmachem i obie strony (ale rosyjska głównie) wiązały z nim ogromne nadzieje jako ważnym wydarzeniem lat 2024–2025, ogłoszonych „latami kultury Rosji i Chin". Film miał się stać symbolem zawiązanej w przeszłości przyjaźni, trwającej dziś i mającej wiązać oba państwa także w przyszłości. Przyjaźni zbudowanej na walce z Zachodem – w filmie przeciwnikiem sterującym siłami wrogimi Chinom i Rosji jest diaboliczny wywiad brytyjski.

Zassało nad wyraz średnio

Czegóż na ekranie nie ma! Widowiskowe, realizowane ze wszystkimi współczesnymi możliwościami sztucznych efektów pogonie w tajdze i boje w luksusowym ekspresie transsyberyjskim. W tym ekspresie – pasażerowie jak z kryminałów Agathy Christie, w warunkach radzieckich lat 20. tak realistyczni, jak festiwal duchów – tajemnicze zbrodnie i śledztwo à la Herkules Poirot. Nieoczekiwane zwroty akcji, demaskacje bohaterów – nikt nie jest tym, kim się na początku w sposób oczywisty wydaje. Dobre aktorstwo.

No i, skierowane podprogowo do rosyjskiego widza, pewne wyrafinowane przesłanie polityczno-historiozoficzne, wykraczające poza powtarzane w filmie do upojenia hasło o konieczności przyjaźni rosyjsko-chińskiej. Oto (nie sądzę, by wielu czytelników DGP obejrzało „Czerwony jedwab", ale mimo to uprzedzam: spoiler) były agent carski od lat z sukcesami zwalczający (zarazem z wzajemnością kochający) piękną funkcjonariuszkę radzieckiego wywiadu, stylizowaną na wampa z lat 20., postanawia, kierowany nostalgią, zdobyć sobie prawo do powrotu do ojczyzny i służenia jej („Teraz jestem po stronie Kraju Rad czy jak to się tam teraz u was nazywa"). I tak robi, dokonując w walce z wrogami ZSRR cudów pomysłowości i bohaterstwa.

A tymczasem jego dotychczasowa miłość i antagonistka przechodzi, jak się okazuje pod koniec, drogę odwrotną. Traci wiarę w komunizm i sprzedaje ojczyznę angielskim lordom za sute wynagrodzenie. Ale dotychczasowy białogwardyjski emigrant do tego nie dopuszcza. Demaskuje dziewczynę, ratuje superważną operację radzieckich służb i zajmuje w nich miejsce obsadzone dotąd przez tę zdradziecką, duchowo i stażem partyjnym starą (choć, powtórzmy, młodą i piękną) bolszewiczkę. Ten żeński relikt mijających czasów proletariackiego internacjonalizmu ginie gdzieś w czeluściach aresztu NKWD i od tej pory, można tak czytać przesłanie, czerwona Rosja staje się już całkowicie po prostu Rosją. Odchodzi kosmopolityzm pierwszych rewolucyjnych lat, na czele stają patrioci, a bolszewizm staje się narodowym wyznaniem wiary Rosjan. Pięknie i po putinowsku.

Tylko rosyjski box office wykazał, że wszystko to razem wśród rosyjskiego targetu, jak to się mówi, zassało nad wyraz średnio. Wpływy z kin okazały się niższe niż budżet filmu. Dochodowy „Czerwony jedwab" stał się dzięki pokazom za granicą – głównie w Chinach, gdzie stał się najbardziej kasowym rosyjskim filmem 2025 r.

Dramy i mikrodramy

Rosyjskie władze robią wiele, by, jeśli nie rzeczywiście kulturalnie skierować Rosję na Wschód, to przynajmniej stworzyć takie wrażenie. Symbolem może być moskiewski „Teatr nacji", który do lutego 2022 r. współpracował z bardzo znanymi zachodnimi reżyserami i teatrami (również z moskiewskim Instytutem Polskim w okresie, kiedy nim kierowałem), a dziś wystawia reżyserowane przez Chińczyków chińskie sztuki. Czołowe moskiewskie i petersburskie teatry odbywają gościnne występy w chińskich miastach, słynne galerie obu krajów (Ermitaż, Trietiakowska) organizują u partnerów wystawy. Wszystko to dotyczy i kultury tradycyjnej, i nowoczesnej.

Znana emigracyjna dziennikarka Ksenia Łuczenko podzieliła się ostatnio wrażeniem z kontaktów z pozostałymi w Moskwie i Petersburgu kolegami ze sfer artystycznych i naukowych. Otóż, według niej, niemal każdy z nich albo wziął już udział w delegacji do Chin, albo właśnie tam jedzie. Albo organizował tam jakąś wystawę, konferencję czy spektakl, albo odwrotnie – gościł u siebie chińskich kolegów czy wystawiał coś chińskiego. „Realnie dzieje się w tej dziedzinie znacznie mniej, niż wynikałoby z oficjalnych deklaracji, ale mimo wszystko – dzieje się sporo" – podsumowuje.

Następuje to przy – wymuszonym i przez zachodnie sankcje, i przez kontrsankcje Kremla – pogłębiającym się braku kontaktu mieszkańców Rosji z kulturą zachodnią. Do teraz zainteresowanie Rosjan kulturą chińską i w ogóle Chinami nie jest, ogólnie rzecz biorąc, wielkie. Można jednak postawić pytanie o długofalowe skutki takiej sytuacji, jeśli odcięcie od Zachodu będzie trwać.

Choć jest jedna dziedzina, w której można już mówić o fenomenie – niebędącym dziełem władz, tylko ogólnoświatowej tendencji, niezależnie od intencji rządzących przesączającej się internetem przez granice. Idzie o chińskie seriale skierowane do najmłodszych, często typu fantasy lub orbitujące wokół tego gatunku, w rodzaju „The Untamed" (Nieokiełznany), „Love Between Fairy and Devil" (Miłość wróżki i demona) czy „Joy of life" (Radość życia). Tak zwane dramy oraz mikrodramy (seriale kręcone z myślą o oglądaniu ich na smartfonie, więc często w formacie pionowym, których odcinek trwa od minuty do trzech) zdobywają przebojem młodych odbiorców na całym świecie. W Rosji również.

Szkoda było wysiłku

Niezależnie jednak od skuteczności czy nieskuteczności polityki pogłębiania (raczej: budowania od podstaw) rosyjsko-chińskich więzi w dziedzinie kultury, w naturalny i chyba w dającej się przewidzieć przyszłości niepowstrzymany sposób umacniają się te polityczne. Oto „The Wall Street Journal", cytując anonimowe źródła, napisał, iż Chiny po cichu budują sieć relacji w środowiskach rosyjskiej władzy – wykraczając przy tym, co jest novum, poza najbliższy krąg zaufanych Władimira Putina. Czynić tak mają i w Moskwie, i w niektórych ośrodkach prowincjonalnych. Źródła „WSJ" przy tym podkreślają, że w żadnym wypadku nie należy tego rozumieć jako działania przeciw Władimirowi Władimirowiczowi. „Putin ma pewien magnetyzm, działający i wewnątrz, i na zewnątrz, Chińczycy to widzą i czują" – stwierdza rosyjski emigracyjny politolog Aleksiej Czigadajew w rozmowie z berlińskim Centrum Carnegie.

Zaś „WSJ" przypomina, że kiedy Xi Jinping w 2013 r. został prezydentem ChRL, to w pierwszą zagraniczną podróż udał się do Moskwy, gdzie, według osób znających przebieg rozmów, określił Putina jako wzór do naśladowania. Tym, co Xi podziwiał – twierdzą źródła „The Wall Street Journal" – była zdolność Putina do utrzymywania pozycji jednego z najważniejszych światowych przywódców,

eprasa.pl 603965d7a6

mimo bycia liderem kraju o gospodarce opartej na eksporcie ropy i gazu, a nie zdywersyfikowanej i produkującej wysoce technologiczne dobra, jak USA i Chiny.

Ten podziw dla rosyjskiej śmiałości, dodajmy, do tej pory w Chińczykach pozostał. Timur Umarow, rosyjski emigracyjny sinolog, często bywający w Pekinie, mówi, że w rozmowach z chińskimi dyplomatami często pojawia się wątek ich zadziwienia faktem, iż „rosyjska dyplomacja robi z nami, co chce, mimo że jesteśmy od nich o tyle bogatsi, a oni mimo to potrafią np. zacząć swoją wojnę w Ukrainie w ogóle bez wcześniejszego powiadomienia nas". Ten podziw nie zmienia faktu, że relacje między oboma krajami coraz bardziej zaczynają przypominać stosunki patrona i jego młodszego partnera – bo jeszcze nie wasala. (Od siebie dodam, że Adolf Hitler w latach 20. szczerze podziwiał Benito Mussoliniego, i ten podziw pozostał w nim do końca. Ale dotyczył wyłącznie osobiście Duce i nie wpływał na to, iż relacja między III Rzeszą a Włochami zmieniła się zasadniczo).

Budowa chińskiej siatki wpływów w Rosji nie jest więc ruchem przeciw Putinowi. „WSJ" interpretuje to działanie jako pekińskie przygotowania do czasów już po Władimirze Władimirowiczu. Zdaniem Umarowa Chińczycy uważają, że przyszłość Rosji jest nieprzewidywalna. A dotychczasowy stan rzeczy nie pozwala im uznać tak ścisłego jak obecnie związku między Moskwą a Pekinem za oczywisty również i w przyszłości. Umowy łączące ChRL oraz Federację nie są długoterminowe, a według Czigadajewa w Rosji nie widać też, jak to jest w innych krajach niedemokratycznych – przykładów osobistej finansowej zależności ludzi władzy od źródeł chińskich („Żeby czynownicy zaczęli zarabiać na finansowych potokach związanych z Chinami"). Brak również dalej idących związków elit wyrażających się w spędzaniu na terenie partnerskiego kraju wolnego czasu czy wręcz w wyborze go jako miejsca zamieszkania.

Dlatego, obawiać się mają Chińczycy, po odejściu Putina, które przecież kiedyś musi nastąpić, nowe kierownictwo Kremla może się dogadać z Zachodem, a ten zdjąć z Rosji sankcje. I wtedy Moskwa, która dziś nie ma alternatywy, może dotychczasowe jednostronnie korzystne dla Pekinu umowy wypowiedzieć. Z chęci zabezpieczenia się przed takim rozwojem przyszłej sytuacji ma wynikać to kompletnie nietypowe jak dotąd dla Chin zachowanie, które można nazwać budowaniem sobie w Rosji lobby.

Nie byłoby to działanie z punktu widzenia Pekinu bardzo ryzykowne. Bowiem według „WSJ" Moskwa zdecydowanie nie chce ujawniać przypadków szpiegostwa na rzecz Chin, obawiając się pogorszenia stosunków, więc tego nie czyni.

Kadr z rosyjsko-chińskiego filmu „Czerwony jedwab"

FOT. CAPITAL PICTURES/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Byłoby to natomiast zachowanie nowe, gdyż dotąd Pekin nie przejawiał ochoty, by w jakikolwiek sposób wpływać – więcej: w ogóle interesować się – sytuacją w Rosji. Nie było dotąd również żadnych przejawów, aby w Zhongnanhai (kompleks budynków rządowych w Pekinie, tuż obok Zakazanego Miasta – chiński odpowiednik Kremla czy Białego Domu – red.) patrzono na Rosję ani jako na swoją trwałą strefę wpływów, ani jako na strefę wpływów wartą tego, by, dla uczynienia jej trwałą, opłacało się poświęcać cokolwiek, choćby wysiłek.

Charakterystyczne pod tym względem jest, że chińskie inwestycje w Rosji to przede wszystkim infrastruktura transportowa we wschodniej części kraju służąca wywozowi kupowanych w Rosji surowców. Nie widać natomiast – czy raczej: dotąd nie było widać – objawów myślenia szerszego, głębszego, w kategoriach jakkolwiek pojętej symbiozy obu organizmów czy wręcz ich integracji.

Jeszcze pogrillować Rosjan

Pekin nie przejawia więc jak dotąd żadnej chęci, by rosyjskiemu partnerowi w czymś ustępować. Poziom chińskiego wsparcia Moskwy w wojnie w Ukrainie jest oceniany różnie („The Insider" przyniósł ostatnio efekty dziennikarskiego śledztwa, mówiące, że jest wyższy, niż się sądzi – jesienią 2023 r. podpisano podobno np. umowę o testowaniu przez Rosjan chińskich prototypów uzbrojenia w warunkach bojowych). Nawet jeśli tak, to zaangażowanie ma się nijak do poziomu wsparcia udzielanego armii rosyjskiej przez biedniejszą i słabszą Koreę Północną.

A w czasie ostatniej wizyty w Pekinie – donosi „WSJ" – głównym celem Putina było porozumienie w sprawie budowy gazociągu Siła Syberii 2, którego Rosja bardzo potrzebuje. Jeszcze przed przyjazdem prezydenta do Pekinu udała się w tej sprawie rosyjska delegacja z szefem Gazpromu Aleksiejem Millerem na czele. Ale Chińczycy mieli jasno powiedzieć, że zgodzą się podpisać umowę, tylko jeśli Rosja zobowiąże się sprzedawać im gaz po takiej samej cenie, jak odbiorcom wewnątrzrosyjskim – a więc poniżej rynkowej. Co więcej, chińscy negocjatorzy mieli zażądać od Rosjan, aby w przyszłości w ogóle nie powracali do tematu bez udzielenia z góry zgody na ten warunek wstępny.

Putin był w Pekinie przyjmowany grzecznie i z wielkimi honorami (ale chiński modus operandi polega na demonstrowaniu równoprawnego traktowania wszystkich gości – podobnie przyjmuje się w Zhongnanhai i Putina, i prezydenta Turkmenistanu, i jakiejś pacyficznej wysepki; ta manifestacyjna równość ma w intencji Chińczyków odróżniać ich kraj in plus od USA i innych tradycyjnych supermocarstw). Ale wrócił do Moskwy bez tego, na czym mu najbardziej zależało.

Zaś społeczne nastroje dotyczące Rosji i Rosjan są w Chinach ambiwalentne. Z jednej strony istnieje specyficzny szacunek dla rosyjskiej zdolności boksowania powyżej swojej kategorii wagowej. I świadomość tego, że, jak pisali z przekąsem pekińscy analitycy po wybuchu wojny w Ukrainie, zachodnia oferta wobec Chin w tej sprawie może być oddana słowami: „Teraz pozwólcie nam wykończyć jedynego waszego sprzymierzeńca, a jak już go wykończymy, to wtedy bez kłopotu skoncentrujemy wszystkie siły na was i was też wykończymy". Z drugiej zaś, jak Aleksiej Czigadajew rekapituluje swoje spotkania w Pekinie, „dowolny chiński profesor, kiedy go poskrobać, mówi pod adresem Rosjan: «Jesteście nieudacznikami, jesteście looserami, wszystko zrobiliście i robicie źle, dlatego nie ma żadnego sensu się z wami w jakikolwiek sposób wiązać»".

„Z punktu widzenia Pekinu lepiej jeszcze trochę pogrillować Rosjan – powiedział «WSJ» Aleksander Gabujew, dyrektor berlińskiego Carnegie Russia Eurasia Center, opisując chińską strategię negocjacyjną. – Poczekać, aż sytuacja gospodarcza Rosji jeszcze bardziej się pogorszy, aż Rosjanie naprawdę znajdą się na kolanach, i dopiero wtedy wymusić warunki jeszcze bardziej korzystne dla Chin".

Wielki Laos

Które zresztą, krok po kroku, są przyjmowane. Przez ponad dekadę Moskwa nie zgadzała się na to, by juan stał się podstawową walutą Banku Rozwoju Szanghajskiej Organizacji Współpracy, mającego operować m.in. w Azji Środkowej. Moskwa obawiała się, że pociągnie to za sobą nadmierny wzrost wpływów Pekinu na tym poradzieckim obszarze. Jednak finansowa izolacja, według informacji „The Wall Street Journal", zmusiła Moskwę do zmiany stanowiska.

Moskwa była też zmuszona do rezygnacji z proponowanego przez Putina szczytu Rosja-ChRL-KRLD, bowiem Pekin tę propozycję stanowczo odrzucił. Zamiast tego Xi udał się na początku czerwca do Pjongjangu – po raz pierwszy od siedmiu lat. Zdaniem analityków podróż ta miała przypomnieć Kim Dzong Unowi, że to Pekin, a nie Moskwa, pozostaje głównym patronem Korei Północnej.

W sprawie wojny przeciw Ukrainie Chiny konsekwentnie trwają zaś przy swojej strategii, którą amerykański politolog Alexander Motyl oddaje w „The Hill" następująco: z punktu widzenia ChRL najbardziej pożądanym scenariuszem nie jest ani zwycięstwo, ani porażka Kremla, lecz Rosja osłabiona, coraz bardziej uzależniona od Pekinu, a zarazem nadal odciągająca uwagę Stanów Zjednoczonych od innych kierunków.

„Chiny mają naprawdę dużą szansę przekształcić Rosję w coś w rodzaju wielkiego Laosu albo wielkiego Pakistanu – uważa Aleksander Gabujew. – Czyli w państwo znacznie bardziej niż obecna Rosja od Chin zależne, znacznie silniej z nimi związane, znacznie częściej postrzegające Chiny jako wzór i źródło nowoczesności". ©℗

Autor jest publicystą, w latach 2019-2022
był dyrektorem Instytutu Polskiego w Moskwie

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. TATYANA MAKEYEVA/AFP/EAST NEWS

Płonące magazyny Wildberries w podmoskiewskiej Elektrostali. 18 lipca 2026 r.

Trudne życie najbogatszej Rosjanki

Ataki na Wildberries wywierają psychiczną presję na klientów serwisu. Wielkie straty ponosi i tak już znacznie osłabiony przez wojnę sektor prywatny. Właśnie o ten szok chodziło Kijowowi

Kacper

Wańczyk

Ukraińskie drony konsekwentnie niszczą ogromne centra logistyczne internetowej platformy handlu detalicznego Wildberries, należącej do najbogatszej Rosjanki Tatjany Kim. Zniszczono już potężne magazyny w podmoskiewskiej Elektrostali, w Kotowsku, a także w Krasnodarze, Niewinnomyssku oraz Woroneżu. Miało zginąć 8 osób, ponad 80 zostało rannych. Firma straciła 7 proc. mocy logistycznych, ale co więcej – atak utrudni jej działalność na kluczowym rynku moskiewskim.

Niszczenie magazynów prywatnej firmy działającej poza sektorem zbrojeniowym jest zakazanym przez międzynarodowe prawo humanitarne atakiem na infrastrukturę cywilną. Kijów jednak podkreśla, że Rosja już od dawna prowadzi tego typu działania, np. demolując ukraiński system energetyczny. Prezydent Wołodymyr Zełenski mówił, że ostrzelanie magazynów to odpowiedź właśnie na te uderzenia. Ponadto zdaniem ukraińskiego polityka firma była wykorzystywana do dostarczania objętych sankcjami komponentów służących do produkcji dronów i sprzętu nawigacyjnego. Moskwa w podobny sposób tłumaczyła swoje ataki na terminale ukraińskiej „Nowej Poczty".

Zebrane przez portal Meduza opinie małego biznesu wskazują na bardzo duży wpływ wydarzenia na tę część rosyjskiej gospodarki. Niektórzy stracili cały posiadany towar; inni chcą ryzykować majątkiem, by nadal prowadzić działalność na Wildberries. Ci, którzy mają większe zasoby, planują stworzyć własne systemy logistyczne. W sektorze panuje obawa, że nie otrzyma wsparcia, a działalność przez platformy sprzedażowe przestanie się opłacać.

Aby handel internetowy rósł

Wildberries to jedna z dwóch największych platform internetowego handlu detalicznego w Rosji. Razem z drugim serwisem Ozon.ru odpowiada za 80 proc. zamówień tego typu składanych w sieci. Według rosyjskiego Stowarzyszenia Firm Handlu Internetowego wartość rynku w 2025 r. wynosiła ok. 168 mld dol., a zdaniem władz rosyjskich wartość tego sektora równa jest 8,5 proc. PKB. Udział witryn handlowych w całości rynku detalicznego to ok. 24 proc.

W ostatnich latach sektor rośnie i się konsoliduje. Za skokowy wzrost jego wartości w ostatnich sześciu latach odpowiadała naturalnie pandemia COVID-19. Więcej osób przyzwyczaiło się w czasie ograniczeń sanitarnych do korzystania z usług sklepów internetowych. Wraz ze wzrostem dochodów rósł też duopol Wildberries oraz Ozon. Ponadto – jak wskazuje ośrodek analityczny DataInsight – powolnej koncentracji ulega także grupa podmiotów sprzedających: w ciągu 2025 r. ich liczba spadła z 700 tys. do 550 tys.

Zaatakowana firma początkowo działała jako tradycyjny sklep przeniesiony do sieci. Urodzona w Groznym Tatjana Kim (wtedy jeszcze Bakalczuk), według rosyjskich mediów, zaczęła działalność w 2004 r. od zamawiania ubrań i obuwia z niemieckich katalogów (np. „Quelle"), które potem odsprzedawała przez portal z marżą 10 proc. Prawdopodobnie także wykorzystywała hurtowe sprzedaże nadmiarów składowych dużych europejskich firm. Bazę finansową dla prowadzenia biznesu w jego wstępnej fazie z pewnością dostarczył mąż Tatiany i jej biznesowy partner w Wildberries, Władysław, działający w sektorze IT.

Na początku XXI w. prawdopodobnie dzięki współpracy z Siergiejem Anufriewem przedsiębiorstwo zaczęło sprzedawać duże partie odzieży firmy Adidas. A jak wiadomo, nie ma cenniejszej marki w krajach wschodniej Słowiańszczyzny. Dzięki wprowadzeniu darmowej dostawy, szybkiej rozbudowie punktów oraz wymuszaniu na dostawcach zniżek firma zaczęła zdobywać rynek. W 2014 r. zadecydowano, że Wildberries rezygnuje z kupowania towarów. Od tej pory firma zaczęła funkcjonować jako pośrednik między sprzedającymi a kupującymi.

Jak w sowieckim kinie

Latem 2024 r. właścicielka platformy postanowiła zmienić swoje życie. Wildberries ogłosiła fuzję z jednym z kluczowych graczy rosyjskiego rynku reklamy zewnętrznej, Russ. A Tatiana złożyła pozew o rozwód. Dalej wydarzenia potoczyły się jak w sowieckiej komedii „Kaukaska branka albo nowe przygody Szurika".

Władysław Bakalczuk oświadczył, że choć ma jedynie 1 proc. udziałów, w rzeczywistości to on kierował firmą, a jego żona była jedynie jej twarzą. Postanowił się pożalić na rodzinne i biznesowe problemy Ramzanowi Kadyrowowi, przywódcy Republiki Czeczeńskiej. Kadyrow Bakalczuka przyjął, wysłuchał, a potem na swoim kanale w Telegramie opublikował nagranie z tego spotkania. Stwierdził, że dochodzi do wrogiego przejęcia Wildberries przez Russ i obiecał pomóc „przyjacielowi".

We wrześniu grupa ludzi czeczeńskiego polityka zaatakowała biura firmy w Moskwie. W wyniku strzelaniny zginęły dwie osoby, siedem zostało rannych. Wildberries broniła grupa złożona przede wszystkim z Inguszy. Obrońcy byli powiązani z inguskim biznesem wspierającym miliardera z Dagestanu Sulejmana Kierimowa, który pilotował fuzję Wildberries z Russ. Ponieważ Kierimow jest związany z szefem administracji Władimira Putina Antonem Wajno, połączenie doprowadzono do końca. Bakalczuk został pozbawiony 1 proc. udziałów. W trakcie rozprawy rozwodowej zasądzono na korzyść jego żony alimenty oraz nakazano mu wypłatę sporej różnicy między jego udziałem we wspólnym majątku a kontrolowanymi aktywami. Uniknął za to postępowania karnego związanego ze strzelaniną. Kim stała się wyłączną właścicielką Wildberries.

Nie rozwiązało to jednak problemów na Kaukazie Północnym. Kadyrow poprzysiągł krwawą zemstę Kie-

eprasa.pl 603965d7a6

rimowowi. Dopiero pośrednictwo kaukaskiej starszyzny i wypłata odszkodowań doprowadziły do oficjalnego porozumienia. Spory te zakończyły się więc w pierwszej połowie 2025 r. zwycięstwem najbogatszej Rosjanki. Nieco ponad rok później staje przed kolejnym kryzysem.

Krajobraz po ataku

Rosyjski niezależny portal The Bell podaje, że łączne straty spowodowane pożarami w magazynach Wildberries wyniosą sporo ponad 1 mld dol. – dwie trzecie rocznego dochodu firmy. Większość z nich poniosą sprzedawcy, bo na początku lipca firma zmieniła warunki umów. Przedsiębiorstwo zwolniło się z odpowiedzialności za zniszczenia towaru w wyniku działania siły wyższej. Zalicza się do tego wszelkie zniszczenia spowodowane przez sprzęt wojskowy. Zdaniem dziennika „Kommiersant" ubezpieczenie miało 5–7 proc. użytkowników platformy. Nie jest też jasne, czy sama firma była ubezpieczona.

Kim poinformowała, że choć firma nie ma obowiązku zwrotu towaru, to opracowuje plan wypłat po oszacowaniu strat, co zajmie ok. 30 dni. Obiecała także wypłaty dla rodzin zmarłych i poszkodowanych pracowników. Powiązany z platformą WB Bank wprowadził na 45 dni zniżki na opłaty za przechowywanie towaru, zniósł opłaty za dostawy do magazynów regionalnych oraz zaproponował małym i średnim firmom odroczenie spłaty zadłużenia do pół roku oraz preferencyjne kredyty i faktoring. Pojedyncze środki wprowadziły też inne banki. Zdaniem analityków właścicielka platformy nie chce stworzyć precedensu odszkodowawczego, licząc się z kolejnymi atakami.

W 2024 r. firma mierzyła się z podobnym problemem. Spłonął wtedy skład pod Petersburgiem. Przedsiębiorstwo utrzymywało, że wypłaciło poszkodowanym 95 proc. strat, ale klienci długo dochodzili w sądach wypłaty odszkodowań. Ponadto wartość uszczerbku była trzykrotnie niższa niż obecnie.

Dla sprzedawców problemem jest także spłata podatków, która powinna się odbywać na bieżąco. Terminy wpłat miną, zanim zostaną dokonane oceny kosztów zniszczeń. W wypadku opóźnień służby fiskalne zablokują konta. Organizacje przedsiębiorców poprosiły już rosyjskie władze o odroczenie spłat o pół roku dla osób, które mogą udokumentować poniesienie strat w wyniku ukraińskiego ataku.

Mimo że w nalotach nie ucierpiał największy konkurent Wildberries – Ozon – to cena jego akcji spadła podczas pierwszej sesji po ataku o 12 proc. Choć później papiery odrobiły straty, sugeruje to, że rynek oczekuje podobnych zagrożeń w przyszłości, a inwestorzy obawiają się, że Ozon będzie kolejnym celem. Jednak jak podkreślają media, system logistyczny obu przedsiębiorstw się różni. O ile Kim postawiła na duże składy, o tyle jej konkurencja rozdziela funkcje magazynowania i sortowania między różne centra. Dzięki temu utrata jednego elementu łańcucha nie paraliżuje całej struktury.

Presja na ludność cywilną

W przeciwieństwie do wcześniejszych ukraińskich ataków na rafinerie i infrastrukturę przesyłu ropy zniszczenie magazynów Wildberries nie dotknęło kluczowych rosyjskich graczy ekonomicznych. Choć Kim mogła w 2024 r. liczyć na wsparcie tak ważnej postaci jak Kierimow, nie jest ona w najważniejszym kręgu osób bliskich Putinowi. Działa w całkowicie prywatnej części rosyjskiej gospodarki, która nigdy nie cieszyła się specjalną uwagą Kremla.

Nie można wykluczyć, że firma rzeczywiście pośredniczyła w obchodzeniu sankcji. Poza granicami Rosji działa też w Armenii, na Białorusi, w Gruzji, Kazachstanie, Kirgistanie, Turcji i Uzbekistanie. Większość z tych gospodarek w tym procederze uczestniczyła, więc tamtejsze przedstawicielstwa mogły na tym zarabiać.

Jednak najwięcej strat poniesie znacznie osłabiony już przez wojnę sektor prywatny. Wywrze także psychiczną presję na klientów serwisu. Prawdopodobnie właśnie o ten szok chodziło Kijowowi. Władze ukraińskie mogą liczyć na to, że zwiększanie kosztu wojny dla cywilnej ludności doprowadzi wreszcie do wybuchu niezadowolenia społecznego.

Uderzenie w biznes prywatny, w połączeniu z niedawnymi problemami w funkcjonowaniu rosyjskiego mobilnego internetu, brakami benzyny, przestępczością weteranów czy złymi wiadomościami z frontu mogą podgrzać nastroje społeczne. Ludzie nie zwrócą się jednak przeciwko Putinowi i jego systemowi. Będą raczej oskarżać administrację o brak właściwego działania.

Może też się okazać, że atak znacząco osłabi pozycję firmy najbogatszej Rosjanki i to, co nie udało się czeczeńskiemu watażce, uda się ukraińskim dronom. ©℗

Autor jest ekspertem Akademickiego Centrum Analiz Strategicznych, publikował m.in. w „Nowej Europie Wschodniej" i OKO.Press. W latach 2007–2020 pracował w dyplomacji. Tekst jest wyrazem opinii własnych autora

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Więcej dla pacjenta – jakość leczenia najlepszą inwestycją w podstawowej opiece zdrowotnej

Podstawowa opieka zdrowotna coraz częściej staje przed dylematem ograniczania kosztów czy inwestycji w jakość leczenia i większą troskę o pacjenta. Michał Rozewicz, Prezes Zarządu Grupy Szpakmed, przekonuje, że to właśnie kompleksowa diagnostyka, nowoczesne technologie i długofalowe podejście do pacjenta pozwalają jednocześnie poprawiać wyniki leczenia oraz zwiększać efektywność systemu.

Diagnostyka i technologia dla skuteczniejszego leczenia

Podstawowa opieka zdrowotna (POZ) jest pierwszym miejscem kontaktu pacjenta z systemem, dlatego decyzje podejmowane na tym etapie mają kluczowe znaczenie dla całego leczenia. Stawka kapitacyjna pozwala odpowiedzialnie i długofalowo organizować opiekę nad pacjentami. W Grupie Szpakmed jest ona fundamentem do dalszego rozwijania jakości świadczonych usług poprzez inwestowanie w diagnostykę, profilaktykę oraz dostępność opieki medycznej. Dzięki temu lekarz szybciej uzyskuje pełniejszy obraz pacjenta, co wspiera trafniejsze decyzje diagnostyczne i skuteczniejsze prowadzenie leczenia. *„Cieszę się, że stawka kapitacyjna funkcjonuje, ponieważ pozwala odpowiedzialnie i długofalowo organizować opiekę nad pacjentami. My w ramach tej stawki świadomie dajemy pacjentom jeszcze więcej – inwestujemy w diagnostykę, profilaktykę i dostępność usług. Polecam takie podejście wszystkim podmiotom, ponieważ dobra jakość leczenia i właściwie zaopiekowany pacjent są najlepszą inwestycją"* – podkreśla Michał Rozewicz. Istotnym elementem jest cyfryzacja. Aplikacja Szpakmed24 umożliwia rejestrację wizyt, zamawianie recept, odbiór wyników i kontakt z placówką. Rozwijane są rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji, wspierające dokumentację i monitorowanie stanu zdrowia pacjentów między wizytami. Decyzje medyczne pozostają jednak po stronie lekarza.

Zaangażowany zespół fundamentem rozwoju Szpakmed

Filozofia „Więcej dla pacjenta" widoczna jest nie tylko w sposobie leczenia, ale także w codziennym funkcjonowaniu organizacji. Grupa Szpakmed buduje kulturę opartą na odpowiedzialności i współpracy. Przykładem jest organizacja pracy infolinii, gdzie w momentach największego obciążenia wszyscy pracownicy, niezależnie od stanowiska, angażują się w obsługę pacjentów. Takie podejście wynika z przekonania, że pacjent powinien otrzymać wsparcie wtedy, kiedy najbardziej go potrzebuje. Szpakmed pokazuje, że skuteczna organizacja medyczna to nie tylko nowoczesne rozwiązania, ale przede wszystkim ludzie, którzy każdego dnia realizują wspólną misję i budują zaufanie pacjentów. W takim modelu każdy pracownik ma wpływ na jakość obsługi i doświadczenie pacjenta, a współodpowiedzialność za funkcjonowanie placówki staje się jednym z kluczowych elementów rozwoju całej organizacji. To kierunek, który wzmacnia zaufanie pacjentów i pokazuje, że inwestowanie w jakość opieki oraz odpowiedzialne podejście do pacjenta stanowią najlepszą drogę do rozwoju nowoczesnej ochrony zdrowia.

Aneta Żych

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl 603965d7a6

Karaluchy kontra indyjski establishment

Zaczęło się od niezręcznej wypowiedzi prominentnego sędziego oraz wycieku arkuszy egzaminacyjnych. Finałem może być poważna destabilizacja Indii albo ich przyspieszona modernizacja

Witold

Sokała

Narendra Modi ma na swym koncie wiele niekwestionowanych sukcesów. Indie pod jego rządami powoli, lecz konsekwentnie zyskują na znaczeniu jako poważny gracz w globalnej polityce. Gospodarka notuje stały wzrost (rekordowy wśród największych potęg światowych; wedle prognoz indyjskiego banku centralnego w tym roku będzie to aż 7,6 proc.), postępuje imponująca rozbudowa infrastruktury, napływają atrakcyjne inwestycje zagraniczne, rezerwy walutowe i kapitalizacja systemu bankowego są na wysokim poziomie, przeciętne bezrobocie niewielkie, a deficyt budżetowy i inflacja pozostają pod kontrolą. Jednocześnie nacjonalistyczna Indyjska Partia Ludowa (Bharatiya Janata Party – BJP), polityczne zaplecze premiera, dość bezpiecznie zwycięża w kolejnych wyborach, sama lub z dość uległymi koalicjantami (ostatnio do władz stanowych, gdzie znacząco poprawiła stan posiadania).

Partie opozycyjne są zagrożone marginalizacją lub przynajmniej surfują od kryzysu do kryzysu. Niezbyt pomogły im nawet próby wykorzystania społecznych obaw i sprzeciwów wywołanych forsowanym przez BJP ujednoliceniem prawa cywilnego (w miejsce praktyki, która w wielu kwestiach pozwala obywatelom różnych wyznań przestrzegać praw właściwych dla ich religii lub opcjonalnie wybierać kodeks świecki). Modi, po ponad 12 latach nieprzerwanie spędzonych u sterów państwowej nawy, nie może jednak spać spokojnie.

Między geopolityką a rynkiem

Mimo wewnętrznych problemów w siłę rosną też Chiny. W dodatku zacieśniają współpracę wojskową, gospodarczą i polityczną z tradycyjnie wrogim Indiom Pakistanem, który w efekcie pozwala sobie na coraz ostrzejszą politykę wobec wielkiego sąsiada. Niedawna konfrontacja militarna pokazała zaś, że indyjskie siły zbrojne – choć modernizowane za olbrzymie pieniądze – nadal lepiej wypadają w statystykach i na defiladach niż w realnym boju.

Przybiera na sile separatyzm w spornym, głównie muzułmańskim Kaszmirze. Lokalnie prowadzi to do coraz częstszych aktów przemocy. Natomiast w stołecznym Nowym Delhi setki osób domagały się niedawno od władz krajowych przyznania niepodległości, a przynajmniej przywrócenia szerokiej autonomii, którą rząd Modiego zawiesił siedem lat temu.

Nieprzewidywalne zachowania Stanów Zjednoczonych, nawracający konflikt zbrojny w rejonie Zatoki Perskiej, irański szantaż i dywersyjne działania ruchu Hutich na szlakach morskich zagrażają stabilności dostaw paliw z Bliskiego Wschodu dla indyjskich rafinerii, a to – w połączeniu z coraz trudniejszym (bo obarczonym ryzykiem zachodnich sankcji) dostępem do taniego surowca z Rosji – może się w końcu negatywnie odbić na dynamice całej gospodarki. Obecnie niemal 90 proc. importowanej ropy trafia do Indii szlakiem przez cieśninę Ormuz. Trudno się więc dziwić, że prognozy wzrostu na rok 2027 oscylują obecnie w okolicach „zaledwie" 6,5 proc. Inne państwa dałyby wiele i za to, ale w Indiach ten utracony 1 pkt proc. oznacza zapewne uruchomienie niebezpiecznego trendu. Pogorszenie kolejnych wskaźników ekonomicznych, zwłaszcza gdyby przełożyło się na kieszeń i nastroje konsumentów i drobnych wytwórców (co jest wysoce prawdopodobne), byłoby oczywistą zachętą dla opozycjonistów wewnętrznych i ułatwieniem dla zewnętrznych rywali.

To, co uderza w indyjskie interesy, niekoniecznie musi jednak bezpośrednio zagrażać władzy Modiego i jego otoczenia. Przeciwnie, niektóre z wymienionych wyzwań wręcz służą popularności szefa rządu, bo miliony wyborców w ich obliczu stawiają na sprawdzonego przywódcę i rządy silnej ręki. Inne stanowią świetne alibi do dalszego ograniczania pola manewru niezależnych mediów i zwiększania uprawnień aparatu przymusu i kontroli, co Modi bardzo lubi. Z podobnymi kłopotami radził sobie w przeszłości bardzo sprawnie.

Zwolennicy ugrupowania Cockroach Janta Party próbują przejść pod budynek indyjskiego parlamentu. Nowe Delhi, 20 lipca 2026 r.

Największe zagrożenie dla premiera i dla narzuconego przezeń modelu uprawiania polityki czai się dzisiaj zupełnie gdzie indziej: w narastającej frustracji i potencjalnym buncie pokolenia Z. Generacji, której priorytetów, emocji, sposobu myślenia i reagowania 76-letni Modi ma pełne prawo nie rozumieć.

W Indiach ludzie przed 30. rokiem życia to ponad połowa całej przekraczającej 1,42 mld osób populacji. Stopa bezrobocia wynosi w tej grupie niemal 10 proc., jest więc ponadtrzykrotnie wyższa od liczonej dla wszystkich przedziałów wiekowych łącznie, a w miastach zbliża się do 14 proc. Mimo to młodzież była do tej pory relatywnie mało aktywna w klasycznej partyjnej polityce. Wynikało to zapewne z kombinacji różnych czynników, od specyficznej kultury politycznej po rozwiązania instytucjonalne, a także z braku oferty trafiającej do młodych zarówno treścią, jak i formą przekazu.

Detonatory buntu

Zaczęło się na pozór niewinnie – od majowego wycieku dokumentów z ogólnokrajowego egzaminu na studia medyczne. Skutek był taki, że procedurę unieważniono i ponad 2 mln kandydatów musiały stanąć do sprawdzianu jeszcze raz. Niektórzy zainteresowani nie wytrzymali stresu i zrezygnowali z wymarzonej ścieżki kariery, zanotowano nawet kilkanaście przypadków samobójstw z tego powodu. Wzmogła się publiczna krytyka pod adresem niesprawnego i głęboko skorumpowanego systemu edukacyjnego, a rykoszetem oberwały rząd i cała Partia Ludowa. W mediach pojawiły się wezwania do dymisji ministra edukacji Dharmendry Pradhana, polityka w wieku przedemerytalnym, który swój urząd sprawuje od pięciu lat.

Może rozeszłoby się po kościach, gdyby nie inicjatywa, instynkt i talent 30-letniego Abhijeeta Dipkego, absolwenta dziennikarstwa w prowincjonalnym Pune oraz public relations na Uniwersytecie Bostońskim, który w przeszłości współpracował z działem mediów społecznościowych centrolewicowej, opozycyjnej Partii Zwyczajnego Człowieka (Aam Aadmi).

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. SHEKHAR YADAV/AP/EAST NEWS

Dipke już wcześniej tworzył antyrządowe memy i prześmiewcze wpisy, ale po aferze egzaminacyjnej popularność jego profili eksplodowała.

Pechowo dla władz przed Sądem Najwyższym równocześnie toczyło się postępowanie, formalnie dotyczące posługiwania się fałszywymi dyplomami, ale de facto problemu znacznie szerszego – dostępu do zawodów prawniczych oraz standardów wypowiedzi młodych prawników w mediach społecznościowych. Prezes sądu Surya Kant, udzielając reprymendy pełnomocnikowi jednej ze stron, pozwolił sobie na porównanie młodych ludzi – jego zdaniem zbyt swobodnych i roszczeniowych – do karaluchów. Wycofywał się z tego i tłumaczył, że został opacznie zrozumiany, ale lawina i tak ruszyła.

Dipke natychmiast zapytał: „A co, jeśli wszystkie karaluchy spotkają się w jednym miejscu?", po czym ogłosił powstanie Partii Ludzi-Karaluchów (Cockroach Janta Party, CJP). Nie zarejestrował jej w sądzie, ale za to stworzył porządną platformę internetową przeznaczoną „dla młodych Hindusów, którzy czują się pominięci w głównym nurcie polityki" oraz „chronicznie korzystają z internetu i mają zdolność do profesjonalnego wygłaszania tyrad". Jej hasło brzmi „Głos leniwych i bezrobotnych". W logo – karaluch na ekranie telefonu komórkowego. Podobno pierwotnie miało to być jedynie działanie satyryczne, wyśmiewające rządzący establishment, ale Dipke wkrótce uderzył też w poważniejsze tony, wskazując, że feralny komentarz prezesa Sądu Najwyższego był dla niego szczególnie bolesny, ponieważ „pochodził od strażnika konstytucji, którego zadaniem jest ochrona wolności słowa".

Rządzący zareagowali klasycznie – serią wypowiedzi odsądzających internetowego wroga od czci i wiary lub sugerujących jego powiązania z wywiadem chińskim, pakistańskim lub amerykańskim, względnie doszukujących się w ofensywie CJP niewidzialnej ręki George'a Sorosa.

Atak śmiechem

Oczywiście nie byłoby żadnym zaskoczeniem, gdyby ktoś dysponujący stosownymi instrumentami dyskretnie pomógł w sieciowej karierze nowej inicjatywy. Nieprzemyślany kontratak, niepoparty wiarygodnymi dowodami, przysporzył jej jednak dodatkowej popularności. Podobnie jak groźby fizycznej przemocy lub represji administracyjnych kierowane pod adresem jej uczestników.

Dipke szybko znalazł licznych pomocników i sojuszników, potrafił też twórczo posłużyć się sztuczną inteligencją oraz wiedzą o profesjonalnym wykorzystaniu algorytmów (do tego naprawdę nie zawsze są konieczne kontakty z obcym wywiadem), więc po pięciu dniach od powstania nowe ugrupowanie miało już ponad 10 mln obserwatorów na Instagramie (wyprzedzając rządzącą BJP!). Rząd popełnił kolejny błąd, podejmując próbę zablokowania konta „Karaluchów" na platformie X. Nieoficjalnie, przez kontrolowane przecieki do zaprzyjaźnionych z BJP redakcji, motywowano ten krok informacjami ze źródeł wywiadowczych, wskazującymi na „obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego i zagrożenie dla suwerenności Indii".

Dipke solennie obśmiał decyzję, zaskarżył ją do sądu i natychmiast uruchomił na X nowy profil – „Karaluch powrócił". Pod koniec maja liczba obserwujących CJP na poszczególnych platformach społecznościowych przekraczała 30 mln, wkrótce potem pękła pierwsza setka. Na początku lipca sąd w Delhi uchylił rządową decyzję jako bezpodstawną, tymczasem popularność akcji wykroczyła poza internet – w wielu miastach zaczęto organizować happeningi, np. „akcje sprzątania", podczas których wolontariusze przebierali się za karaluchy. Powstało też miasteczko protestu przed stołecznym obserwatorium astronomicznym Dżantar Mantar.

CJP wciąż odżegnuje się od planów bycia prawdziwą partią, ale już powołała kilkuosobowe władze i dopieściła manifesty programowe. Opisała się jako „polityczny front młodzieży tworzony przez młodzież i dla młodzieży: świecki, socjalistyczny, demokratyczny i leniwy", który zamierza „głośno, wielokrotnie i na piśmie pytać, gdzie podziały się pieniądze". Pojawiło się też coraz więcej dosyć precyzyjnych postulatów antykorupcyjnych, wymierzonych w system kastowy, nierówność płci i wiele innych szklanych sufitów, w tradycyjne patologie systemu politycznego (w tym fałszerstwa wyborcze i zmiany przynależności partyjnej przez polityków) oraz rynku pracy, a także w dominację wielkich koncernów medialnych kosztem mediów niezależnych. Dipke tymczasem mocno zaangażował się w krytykę działań rządu w sprawie afery egzaminacyjnej, żądając ustąpienia już nie tylko ministra Pradhana, lecz także premiera Modiego. I w dodatku głębokich reform całego systemu edukacji.

Ten swoisty koktajl bardzo poważnych postulatów i lekkiej, satyrycznej formy oraz luzu spodobał się nie tylko młodym. Okazało się, że pompatyczność – charakterystyczna dla indyjskiej polityki od wielu lat – doskwierała bardzo mocno również ludziom starszym, o czym świadczą liczne wyrazy poparcia ze strony aktywistów społecznych na rzecz środowiska czy praw człowieka, osobistości akademickich, przedstawicieli dużego biznesu czy kultury. Pewnie część z nich jest nieco koniunkturalna, bo okazało się, że atak śmiechem i trafianie w polityczne gusta młodzieży może się opłacić, ale i tak zaczęły się poważne sugestie, że oto mamy do czynienia z początkiem rewolty, która zmiecie coraz bardziej autorytarne i patriarchalne rządy Modiego, BJP, polityczne religianctwo i korupcję oraz na dobre wprowadzi Indie w XXI w.

Na razie tak naprawdę wiadomo tylko tyle, że potencjał buntu jest spory (różni politolodzy co prawda pisywali o tym od lat, ale kto by ich czytał...), zaś hasztag #MainBhiCockroach (czyli „Ja też jestem karaluchem") stał się bardzo modny zarówno wśród Hindusów mieszkających w kraju, jak i w diasporze.

W ślady Gandhiego?

Pomiędzy nazwaniem, nagłośnieniem i skanalizowaniem frustracji wielkich grup społecznych a praktycznymi zmianami w polityce państwowej jest jednak spory dystans. Internetowe inicjatywy, bazujące głównie na aspiracjach i umiejętnościach bardzo młodych ludzi, odegrały co prawda swoją rolę w początkach arabskiej wiosny ludów, a także masowych protestów społecznych w Iranie, ale potem autorytarni politycy starej daty i tak zdołali przywrócić swą dominację. Z kolei do udanych buntów generacji Z, które doprowadziły do politycznych trzęsień ziemi i zmiany władz w sąsiednim Nepalu czy Bangladeszu, doszło w znacząco innych warunkach, w dodatku z użyciem przemocy. Zwraca na to uwagę sam Dipke, zastrzegając: „Cokolwiek zrobimy, zrobimy to w ramach praw zapisanych w konstytucji. Zrobimy to w sposób bardzo demokratyczny i pokojowy".

To w indyjskich realiach nie będzie łatwe. Znany aktywista Sonam Wangchuk, zaangażowany wcześniej w działania społeczne i proekologiczne, laureat nagrody im. Ramona Magsaysaya (nazywanej często azjatyckim Noblem), z uwagi na swą charyzmę i nawoływanie do unikania przemocy niekiedy porównywany do Mahatmy Gandhiego, postanowił wesprzeć Karaluchy w ich akcji związanej z reformą edukacji i ogłosił pod koniec czerwca głodówkę. Władze zareagowały siłowym umieszczeniem go w szpitalu i przymusowym karmieniem, co wywołało skandal.

Pokojowe manifestacje CJP, organizowane niedawno w stolicy, zostały brutalnie spacyfikowane przez formacje policyjne i paramilitarne, które użyły gazu łzawiącego i pałek. W poniedziałek zatrzymano kilkadziesiąt osób, rannych zostało niemal 200, ale ofiary wymagające hospitalizacji były także wśród funkcjonariuszy, więc tradycji Gandhiego chyba nie przestrzegano zbyt dokładnie. Dipke w konsekwencji odwołał we wtorek dalsze marsze protestacyjne, na które nie było formalnej zgody władz, motywując to chęcią uniknięcia rozlewu krwi. Sformu- ▷

> Największe zagrożenie dla premiera Indii czai się dzisiaj w narastającej frustracji i potencjalnym buncie pokolenia Z, generacji, której 76-letni Modi ma pełne prawo nie rozumieć

eprasa.pl 603965d7a6

łował jednocześnie nowe żądania, w tym wypłaty odszkodowania w wysokości 10 mln rupii (104 tys. dol.) dla rodziny każdego, kto popełnił samobójstwo po unieważnieniu egzaminów.

Bezpośrednio po tym wystąpieniu rząd zaczął wysyłać pojednawcze sygnały. Po raz pierwszy głos zabrał nawet sam premier (wcześniej do „Karaluchów" i podnoszonych przez nich problemów odnosili się jedynie jego podwładni). Modi zadeklarował ściganie winnych zaniedbań i błędów w systemie edukacji oraz przyspieszenie reform, lecz internetowi zwolennicy CJP gremialnie uznali to za grę na czas. Demonstracje nie ustały, a w trakcie jednej z nich przed rezydencją premiera policja zatrzymała m.in. Rahula Gandhiego i jego siostrę Priyankę Vadrę, liderów Indyjskiego Kongresu Narodowego, czyli głównej partii opozycyjnej.

Część komentatorów oceniała już wcześniej, że oto nadszedł czas na wejście do gry istniejących partii, czyli na wzmocnienie lub przejęcie postulatów formułowanych przez „Karaluchy". Ogólnokrajowy parlament będzie wybierany co prawda dopiero w kwietniu 2029 r., ale w niektórych stanach zaplanowano elekcje już w roku przyszłym. Ugrupowania opozycyjne patrzą więc na zmobilizowaną politycznie młodzież łakomym wzrokiem. „Starzy" politycy nadal nie wydają się jednak mentalnie gotowi do nawiązania prawdziwego dialogu z tymi nowymi wyborcami. Z kolei głęboko nieufni wobec dotychczasowych elit zwolennicy CJP, zdając sobie też sprawę z ryzyka rozmycia ich kluczowych postulatów w obcych programach, niekoniecznie są tym scenariuszem zainteresowani. Co prawda w trakcie eskalacji protestów Dipke poprosił opozycyjnych polityków parlamentarnych o wsparcie logistyczne i prawne, ale chyba był to gest taktyczny, wymuszony potrzebą chwili.

Na stole leży też opcja przekształcenia CJP w ugrupowanie zdolne do samodzielnego startu w wyborach, to jednak zapewne spowoduje liczne napięcia wewnętrzne i spadek atrakcyjności ruchu dla jego co bardziej radykalnych działaczy. A na koniec pozostaje scenariusz pewnie potencjalnie najgorszy dla wszystkich, czyli przemocowe kryterium uliczne.

Narendra Modi i jego zwolennicy mogą więc mieć nadzieję, że w obliczu powyższych dylematów impet ruchu z czasem wygaśnie, a młodzi ludzie zajmą się walką o byt w takich warunkach, jakie oferuje im system. Jak jednak napisał jeden z internetowych aktywistów, „karaluch jest przykładem odporności, siły powracającej po każdym trudnym wyzwaniu". ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Witold

Sokała

wykładowca Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczący Rady i analityk Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Mam dużo krów i co mi zrobicie

Jeżeli komuś się wydaje, że czasy brutalnych i ekscentrycznych dyktatorów minęły, powinien się przyjrzeć Ugandzie

Mariusz

Janik

Krowy rasy watussi są opisywane jako majestatyczne. Ich rogi mierzą półtora metra długości, a zdarzają się osobniki, które mają jeszcze dłuższe. W Europie trafiają do ogrodów zoologicznych, lecz w rodzimej Afryce Wschodniej posiadanie watussi jest oznaką bogactwa. Używa się ich też jako waluty.

I tak traktuje je gen. Muhoozi Kainerugaba. „Ile krów trzeba byłoby oddać za rękę szefowej włoskiego rządu?" – dopytywał na portalu X cztery lata temu, gdy Giorgia Meloni przymierzała się do stanowiska premiera. „Co najmniej setkę" – odpowiadał sam sobie w następnym wpisie. I już w tonie ultymatywnym dorzucał, że chce się ożenić z Meloni, co zilustrował zdjęciem ze spotkania z ambasadorem Włoch podczas rzekomych targów o rękę włoskiej polityk. „Jeżeli nie przyjmiecie mojej oferty, najedziemy Włochy" – zapowiadał.

O ile w tym wypadku prezydent Ugandy Yoweri Museveni – ojciec Kainerugaby – oficjalnie przepraszał rząd w Rzymie za te wpisy, o tyle potem już chyba przestał się przejmować życiem uczuciowym syna. Tak samo jak żona generała. A matrymonialne plany Muhooziego wykraczają poza monogamię. Gdy od tureckich władz zażądał miliarda dolarów za pomoc Afryki, a w szczególności Ugandy, w misji pokojowej w Somalii, przy okazji złożył ofertę. „Do tego miliarda chcę jeszcze najpiękniejszą kobietę w tym kraju (Turcji – red.) za żonę" – informował na X.

Największą jednak namiętnością ugandyjski mundurowy pała do Beyoncé. „Daję Jayowi-Z tydzień, żeby oddał mi swoją żonę. W przeciwnym razie pójdę z tą sprawą do ONZ" – rzucił na X pod koniec czerwca. Trudno się dziwić zniecierpliwieniu, bo Kainerugaba pożąda Beyoncé od miesięcy: wcześniej m.in. wzywał Jaya-Z do przyjazdu do Kampali i walki jeden na jednego. „Jeżeli zwyciężę, biorę ją" – kwitował. Wytykał także, rzecz jasna, małżonkowi piosenkarki biedę. „To ja mam setki watussi!" – dowodził w innym wpisie. Co prawda, wszystkie już zniknęły, ale generał nie pozostawia wątpliwości, że pomimo 52 lat na karku jest krewki i jurny.

O ile jego końskie zaloty mogą być chwytliwym tematem szybkiego newsa do internetu, o tyle zapewne interesują one nielicznych wśród 1,3 mln obserwujących jego profil na X. Niestety Kainerugaba potrafi używać go również w inny sposób: w 2022 r. zapewniał Kreml, że „atak na Rosję jest atakiem na Afrykę", rok później – gdy Uganda przyjęła pakiet homofobicznych przepisów – na oburzenie Zachodu odpowiadał pogróżkami wyrzucenia z kraju zagranicznych firm. Pod adresem Kenijczyków napisał, że w ciągu dwóch tygodni jest w stanie zająć Nairobi. Raz najwyraźniej przesadził: zaczął wygrażać Amerykanom zerwaniem współpracy wojskowej; ten wpis zniknął, a pojawił się inny, w którym szef armii przyznał, że powinien ograniczyć korzystanie z mediów społecznościowych. Ale cyfrowy detoks trwał ledwie kilka dni.

Rok temu Kainerugaba relacjonował na żywo torturowanie opozycjonisty, a miesiąc temu przez jego konto na X Ugandyjczycy się dowiedzieli, że Kampala zrywa warty 3,2 mld dol. kontrakt z Turcją na budowę sieci kolejowej. Pod koniec czerwca zaś – że rząd postanowił zamknąć ostatnie niezależne media w kraju: stacje telewizyjne NTV i Spark TV, gazetę „The Daily Monitor" i garstkę niszowych redakcji, m. in. radiowych i online. „NIE wierzę w wolną prasę! Prasa powinna być kierowana przez kadry rewolucji – zapewnił w stylu budzącym skojarzenia z retoryką Donalda Trumpa, Kainerugaba na X. – Mój ojciec dał mi władzę do zamknięcia jakiegokolwiek medium, jakie zechcę. I nie zostaną one ponownie otwarte bez mojego pozwolenia".

Od entuzjazmu do przerażenia

„Kiedy Narodowa Armia Oporu (NRA) Yoweriego Museveniego wmaszerowała do Kampali, mieszkańcy miasta byli zaskoczeni, że nie doszło do szabrowania, jak to było w przypadku przemarszu innych armii. (...) Po dwóch burzliwych dekadach pod rządami Idi Amina i Miltona Obote przejęcie władzy przez Museveniego w styczniu 1986 r. było przez wielu Ugandyjczyków postrzegane jako tak pożądane wyjście z chaosu" – pisała Aili Mari Tripp, afrykanistka z University of Wisconsin-Madison w książce „Museveni's Uganda. Paradoxes of Power in a Hybrid Regime".

Podsumowywała w niej pierwsze niemal trzy dekady rządów Museveniego. Najpierw wielkie nadzieje: nowy przywódca przywrócił jaki taki porządek w kraju, walczące ze sobą ugrupowania wcielił do jednej armii, dopuścił reprezentacje najważniejszych ugrupowań politycznych do rządów – zamiast nieustannej walki każdy dostał kawałek tortu. „Museveni długo był uważany przez korespondentów, dyplomatów i wielu uznanych akademików za nowy typ afrykańskiego lidera, godny naśladowania. Odziedziczył po poprzednich rządach brzemię instytucjonalnego upadku i błędów, mając szansę radykalnie zreformować i odtworzyć struktury rządu" – pisze Tripp. „Chwalono go za pójście drogą wzrostu gospodarczego, dyscypliny fiskalnej, wolnego rynku. Zrestrukturyzował służby cywilne i podniósł płace w budżetówce. Zredukował siły zbrojne, wyprzedał państwowe firmy i oddał majątek Azjatom, których z kraju wyrzucił w 1972 r. Amin. Zreformował walutę i podniósł ceny zbóż idących na eksport. Stopniowo gospodarka stanęła na nogach" – wyliczała Tripp.

Ale „hybrydowy reżim" z tytułu jej książki szybko zaczął przesłaniać optymistyczny obrazek: jak dowodzi ekspertka, forsując kolejne tak dobrze odbierane zmiany, nowe władze w Kampali konsolidowały władzę. O ile Museveni był jeszcze skłonny zawierać kompromisy z dawnymi towarzyszami broni z czasów, gdy ugandyjska opozycja urzędowała w Tanzanii (w erze Amina) lub toczyła wojnę w buszu (za czasów Obote), o tyle jego tolerancja dla nich stopniowo malała. A nowych sił politycznych w kraju już nie tolerował. Z czasem prezydent, dziś 81-letni, obrósł wianuszkiem doradców, pomagierów i popleczników z rodzinnych stron lub z plemion, z których wywodzili się jego rodzice. Tripp nazywa system, który w ten sposób powstał, „semiautokracją".

Ostatnich kilkanaście lat można w zasadzie określać już jako dyktaturę. Jeszcze w 2010 r. reżim Museveniego zabiegał o sympatię świata. Ba, prezydent starał się o to, by uczynić z Ugandy turystyczną atrakcję Afryki – a jest to kraj, który mógłby skusić koneserów pięknych krajobrazów, wygód czy przyjaznej jak na Czarny Ląd pogody. Ale mizerne skutki tych zabiegów najwyraźniej zniechęciły reżim: w 2013 r. Uganda zwracała uwagę świata tylko za sprawą brutalnej kampanii wymierzonej w homoseksualistów. Wrzało też za kulisami lokalnej polityki: sojusze z czasów wspólnej tułaczki i walki w buszu pękały. A jedną z najważniejszych przyczyn rozpadu wieloletnich aliansów i przyjaźni był Pierwszy Syn.

Niedaleko pada jabłko

Właśnie tak Kainerugaba bywa nazywany przez rodaków. Jest w tym ironia, metafora polityczna, stwierdzenie faktu – zależy, kto i jak o nim mówi. Urodzony w 1974 r. Muhoozi jest pierwszym dzieckiem prezydenta i jedynym jego synem. Ma trzy siostry, które żyją komfortowo, ale w ugandyjskiej polityce nie odgrywa-

eprasa.pl 603965d7a6

ją żadnej roli: Natasha Karugire (rocznik 1976) reżyseruje filmy – ma na koncie m.in. quasi-epopeję o walce NRA z reżimami Amina i Obote, zatytułowaną „27 Guns" – projektuje modę i doradza ojcu. Patience Rwabwogo (1978) jest pastorką jednego ze zborów w Kampali. O najmłodszej Dianie Kamuntu (1980) mówi się głównie jako o aktorce – z planu, jakżeby inaczej, „27 Guns" – i celebrytce, która pod koniec zeszłego roku się rozwiodła.

Biorąc pod uwagę patriarchalną kulturę Ugandy, trudno się zatem dziwić, że nadzieje ojca – i całej familii – skupiają się na Muhoozim. Urodził się jeszcze w czasach, gdy ugandyjscy rewolucjoniści (jak większość opozycjonistów z krajów afrykańskich) cieszyli się azylem w Tanzanii – i tam spędził pierwsze lata życia. Ale wraz z powrotem przywódców NRA do ojczyzny i on wylądował w Ugandzie. Nie zagrzał tam długo miejsca. Według oficjalnych biogramów podstawową i średnią edukację zdobywał w ojczyźnie, ale też w Kenii i Szwecji. Z kolei jego późniejsze wojskowe wykształcenie obejmuje niezbyt długą edukację m.in. na Egipskiej Akademii Wojskowej, brytyjskiej Królewskiej Akademii Wojskowej w Sandhurst, amerykańskim koledżu w Fort Leavenworth, południowoafrykańskim National Defence College. Otarł się o University of Nottingham, gdzie – najwyraźniej w szybkim tempie – zdobył wykształcenie politologiczne.

Co ciekawe, przeskakując między uczelniami, Museveni junior zdążył załapać się na ugandyjski przekręt stulecia. „W latach 1993–1994 Bank Światowy i MFW przyznały Ugandzie kredyt 100 mln dol. na prywatyzację sektora finansowego, a w szczególności prywatyzację Uganda Commercial Bank. Dokonano dwóch osobnych prób (prywatyzacji – red.), rozciągniętych na prawie dekadę, by zlikwidować UCB i sprzedać jego majątek zagranicznemu bankowi. Pierwsza, w 1998 r., polegała na sprzedaży 51 proc. udziałów malezyjskiej firmie Westmont Berhad" – opisuje Mahmood Mamdani, autor książki „Slow Poison/Idi Amin, Yoweri Museveni and the Making of the Ugandan State".

Szkopuł w tym, że malezyjska firma była bytem ufundowanym przy niemal pewnej aprobacie Musevaniego: za skomplikowanym schematem właścicielskim kryli się przyrodni brat prezydenta gen. Salim Saleh, porucznik (wówczas) Muhoozi Kainerugaba, stado ministrów i szef centralnego banku Suleiman Kiggundu. I to ten ostatni pękł podczas późniejszych przesłuchań. „Kiggundu oświadczył, że sprzedaż akcji była nadzorowana przez Saleha i Kainerugabę (...), ale nie podjęto żadnych działań prawnych, wyjąwszy Kiggundu, który trafił do więzienia na sześć miesięcy i skonfiskowano jego majątek" – kwituje Mamdani. Saleh wkrótce później poszedł w dyskretną odstawkę, choć Museveni publicznie uzasadnił ten ruch „brakiem dyscypliny i pijaństwem" w nadzorowanych przez generała siłach zbrojnych.

Unikaj dań z kuchni

Nie znaczy to, że przyrodni brat prezydenta wypadł z łask – raczej musiał zrobić miejsce Pierwszemu Synowi, który u progu nowego tysiąclecia zaczął robić szybką karierę w armii. Junior został szefem prezydenckiej ochrony, w 2005 r. – dowódcą sił specjalnych, w 2008 r. mianował się pułkownikiem, w 2012 r. – generałem i szefem całej armii. Siły specjalne, oczko w jego głowie, znacząco urosły za jego przywództwa, zyskały na możliwościach i wpływach. „Chronią rodzinę prezydencką i strategiczne instalacje, takie jak pola naftowe, stają na czele zagranicznych misji wojskowych, wspierają inne siły w rozpraszaniu protestów i niepokojów w Kampali" – wyliczają belgijscy afrykaniści Anna Reuss i Kristof Titeca w artykule „When Revolutionaries grow old: the Museveni babies and the slow death of liberation".

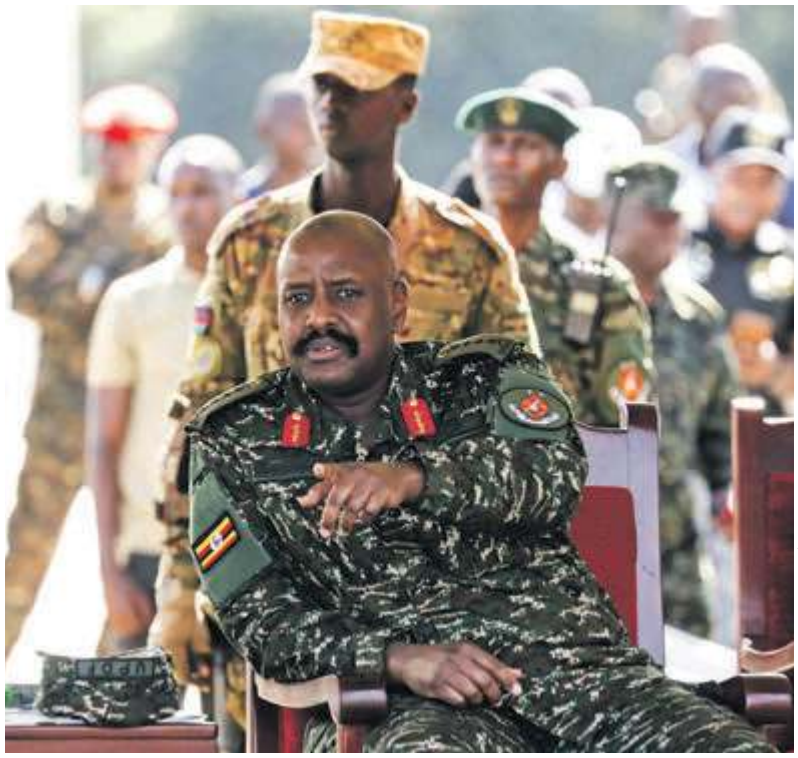

FOT. HAJARAH NALWADDA/GETTY IMAGES

Generał Muhoozi Kainerugaba przygląda się ćwiczeniom służb specjalnych. Kampala, 13 maja 2025 r.

Dla wszystkich było już jasne, że Muhoozi jest szykowany na następcę sędziwego prezydenta. Sukcesję zaczęto rychło nazywać Projektem Muhoozi, a weterani NRA zaczęli otwarcie i gorzko na to utyskiwać – zwłaszcza że salony władzy zaczęły się dla nich zamykać. Wypychanie weteranów ze struktur państwa i z armii, opieranie się na strukturach rodzimego regionu i tamtejszych klanów czy wreszcie awanse polityków wiernych, ale z rewolucją lat 70. i 80. niemających już nic wspólnego, zaczęły wywoływać coraz większy ferment.

Ale kto za głośno protestował, ten ryzykował głową. „W 2012 r. deputowana Cerinah Nebanda nieoczekiwanie zmarła w wieku 24 lat, po tym jak wielokrotnie skrytykowała rząd i prezydenta. W 2015 r. gen. Aronda Nyakairima zmarł podczas lotu z Korei Południowej do Dubaju i plotkowano, że (przyczyną było to, iż – red.) był przeciwny Projektowi Muhoozi" – pisze Rebecca Tapscott w książce „Arbitrary States. Social Control and Modern Authoritarianism in Museveni's Uganda".

„W ostatnich latach ponad tuzin krytyków Museveniego zginęło w tajemniczych wypadkach samochodowych czy po nagłej i niespodziewanej chorobie" – mówił gen. David Sejusa w rozmowie z amerykańską dziennikarką Helen Epstein po tym, jak w 2013 r. uciekł do Wielkiej Brytanii. „Wśród nich byli wysocy rangą oficerowie armii, których podejrzewano o spiskowanie, działacze opozycji czy prokurator generalny, który próbował zablokować plan zniesienia limitu kadencji prezydenckich Museveniego. W Kampali przerażeni deputowani opowiadali mi, że unikają jazdy samochodem po zmroku czy wcześniejszych zwyczajów jadania po pracy w tym samym lokalu. W restauracjach jedzą oni tylko z bufetów, nigdy nie zamawiają z kuchni" – opowiadał. Nie było taryfy ulgowej: w 2017 r. zastrzelono we własnym domu bliskiego współpracownika prezydenta, który najwyraźniej poczuł się na tyle pewnie, by zacząć krytykować rządzący establishment.

W prostej linii od Jezusa

Zagrożenie dla familii przyszło jednak ze sceny. Robert Kyagulanyi Ssentamu wszedł na nią, kiedy skończył 20. rok życia, i potrafił na koncertach bawić nawet po 40 tys. ludzi. W czasie gdy kampania wymierzona w przeciwników Projektu Muhozi oraz nielimitowanej liczby kadencji Museveniego nabrała impetu, Ssentamu – znany jako Bobi Wine – był u szczytu kariery. Urodzony w 1982 r. w slumsach Kampali muzyk zrobił karierę, zdobył pieniądze, zasłynął jako filantrop i latem 2017 r. wszedł do parlamentu jako głos młodego pokolenia. Na koncerty zaczął zabierać konstytucję, a piosenki przetykał monologami na temat nadużyć władzy. – Niemal codziennie otrzymuję pogróżki. Przyjaciele, którzy wiedzą lepiej ode mnie, co w trawie piszczy, doradzili, żebym uważam na to, co jem i piję i z kim się spotykam – opowiadał reporterom francuskiego tygodnika „Society". – Mogą mnie wsadzić do więzienia. Mogą zamykać raz za razem, jeśli tylko zechcą. Ale jeżeli taka jest cena za wolność narodu, nie widzę problemu – deklarował, nie kryjąc przy tym ambicji startu w wyborach prezydenckich.

Ostatnią dekadę wypełniła piosenkarzowi żmudna pielgrzymka po aresztach i salach sądowych. Pobito go kilkakrotnie, jeden z jego ochroniarzy został śmiertelnie potrącony przez wojskowe auto, kierowca zastrzelony, do ogrodu wrzucano mu granaty. Wine żyje głównie dzięki wielotysięcznej rzeszy fanów, którzy za każdym razem wychodzą na ulice w jego obronie – choć np. w 2020 r. służby bezpieczeństwa zabiły podczas rozpędzania protestów co najmniej setkę z nich. W styczniu tego roku w kolejnych wyborach prezydenckich artysta zdobył oficjalnie 24,72 proc. głosów, co on sam – jak i jego wyborcy – uznał za fałszerstwo. Jednak w marcu Wine ogłosił – po kilku tygodniach ukrywania się i pogróżkach Kainerugaby, że „urwie mu jaja" – iż opuścił Ugandę.

Trudno mu się dziwić. Pierwszy Syn – wraz z postępującym stetryczeniem ojca – nabiera śmiałości. W 2025 r. na X umieścił relację live z torturowania Edwarda Ssebuufu, wówczas jednego z najważniejszych ochroniarzy Wine'a. „Broda była pierwszą rzeczą, jaką chłopcy mu usunęli. Jak tylko przestał płakać i sikać pod siebie. Wciąż jeszcze muszę go wykastrować" – donosił. Nikt nie ma wielkich złudzeń, że Wine – gdyby wpadł w ręce reżimu – podzieliłby los współpracownika. O ile Museveni wolał nie igrać zanadto z popularnością muzyka, o tyle jego syn nie ma już przed tym żadnych oporów. – Błędem jest próbowanie zrozumienia go poprzez jego wpisy – twierdzi jeden z przyjaciół generała, zastrzegający anonimowość, w rozmowie z BBC. – To człowiek o złożonym charakterze – dodawał.

Niewątpliwie. „Nie boję się nikogo na tej planecie, bo moja linia krwi wywodzi się od Jezusa Chrystusa" – rzucił followersom Pierwszy Syn na początku tego roku. Wpis skasował, ale zostawił grafikę w tle, z portretem Chrystusa. Tę religijną nutę podchwycili najwyraźniej poplecznicy reżimu. – Wierzymy w Boga Ojca: Bogiem Ojcem jest prezydent Museveni, Bogiem Synem jest MK, a teraz wy (wyborcy – red.) jesteście Duchem Świętym. Zatem głosujcie na nich – ogłosiła była szefowa parlamentu Anita Among na przedwyborczym wiecu.

Ugandyjczycy wolą mówić o Trójcy Nieświętej. – Ojcem jest Museveni, synem – Muhoozi, a Duchem Nieświętym jest wuj Salim Saleh – tłumaczył badacz Afryki Wschodniej Nicodemus Minde w rozmowie z BBC. Zwracał uwagę, że poza oczywistymi prowokacjami czy grubiańskimi żartami, które mają przyciągać uwagę, budować wizerunek twardego gracza czy mobilizować zwolenników, Kainerugaba sonduje poparcie dla pomysłu zastąpienia ojca na najwyższym urzędzie. – Powinniśmy naprawdę martwić się możliwością, że zostaje prezydentem. A istnieje duże prawdopodobieństwo, że do tego dojdzie – powiedział jeden z ugandyjskich opozycjonistów dziennikowi „The Telegraph". ©℗

Więcej tekstów tego autora: skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 603965d7a6

Kraj

To się już nie sklei

Mateusz Morawiecki nie potrafi pogodzić się z tym, że w polityce trzeba umieć czekać na odpowiedni moment. Prędzej czy później przy Nowogrodzkiej wygra myślenie, że kontrola nad partią jest ważniejsza niż utrzymanie w niej wszystkich członków

Z Janem Marią

Jackowskim

rozmawia Marcin Fijołek, Polsat

Ile widział już pan podziałów na prawicy?

Myślę, że kilkanaście, choć każdy z nich miał swoje odnogi i mógł być uznany za osobny podział. Cała historia III RP to wzloty i upadki środowisk prawicowych: próby ich scalania, a następnie rozłamy i pęknięcia. Warto mieć z tyłu głowy, że chcąc nie chcąc, wpadamy w manierę, w której wszystko, co nie jest liberalno-lewicowe, jest uznawane za prawicowe albo konserwatywne. To skrót myślowy, zacierający obraz podziałów ideowych na prawej stronie. Jeśli uczciwie prześwietlimy postulaty gospodarcze, to Prawo i Sprawiedliwość jest raczej formacją centrolewicową, za to mocno podlaną retoryką narodowo-katolicką. Dlatego nieco odruchowo nazywa się ją prawicą. Środowisk konsekwentniej odwołujących się do prawicowego programu jest więcej.

Co takiego jest w DNA polskiej prawicy, że jedyna zmienna, której możemy być pewni, to podział?

Taka jest w ogóle natura polityki. Choć zgoda, na prawicy w Polsce ten gen rozłamowy jest o wiele bardziej widoczny i silniej dominujący. Wszystko zaczęło się od słynnego konwentu św. Katarzyny i traumy wyborów 1993 r. Dla większości naszych czytelników to pewnie prehistoria...

Nawet jeśli, to przecież wielu uczestników tamtych gier wciąż jest na scenie i rozdaje karty. Z Jarosławem Kaczyńskim na czele.

Tak, Jarosław Kaczyński był bardzo aktywnym uczestnikiem tamtych wydarzeń i zna te mechanizmy od podszewki. Rozmowy, ustalenia i spotkania odbywały się w atmosferze ciągłej niepewności. Bywało tak, że wieczorem spotykano się przy stole i konkretne gremium ustalało jedną rzeczywistość, a już rano okazywało się to nieaktualne. Kaczyński wszystko przerabiał i w pewnym momencie zdał sobie sprawę, że jeżeli chce rządzić – a przeświadczenie to zwłaszcza dojrzało po 2010 r. – musi wyjść z dotychczasowych przekonań i wrażliwości programowej, otworzyć się na środowiska narodowo-katolickie. Po śmierci Lecha Kaczyńskiego prezes sam stał się niejako narodowym katolikiem i przyjął retorykę, którą jeszcze w latach 90. mocno zwalczał. To przecież on powiedział: „najkrótsza droga do dechrystianizacji Polski prowadzi przez Zjednoczenie Chrześcijańsko-Narodowe". Słowa te nie wzięły się z przypadku.

Kiedy parę lat temu przeprowadzaliśmy dla Interii wywiad z Jarosławem Kaczyńskim, przypomniałem mu ten cytat. Mówił, że z Kościołem „mamy przyjazną kooperację, a nie sojusz".

Moim zdaniem prezes PiS po latach zrozumiał, że bez nurtu narodowo-katolickiego nie jest w stanie wygrać na taką skalę, by sprawować władzę. I jak to zwykle bywa z neofitami – przesadził i być może zniechęcił wielu ludzi do wartości, które niósł na sztandarach. Ale to opowieść na osobną dyskusję. Tak czy inaczej, cały konwent św. Katarzyny był kompletnie niezrozumiały dla prawicowego elektoratu. Pytano na spotkaniach: jak to jest, że środowiska nie potrafią się porozumieć? Skutkiem była trauma 1993 r.: podzielona i rozproszona prawica nie weszła do Sejmu. Triumf postkomunistów – do spółki z PSL, które dopiero co pożegnało nazwę Zjednoczone Stronnictwo Ludowe – był totalny. Ta trauma legła u źródeł inicjatyw integracyjnych, z których wyrosła Akcja Wyborcza „Solidarność".

Myśli pan, że trauma sprzed 33 lat może mieć wpływ na to, co się dzieje dziś?

W jakiejś mierze tak. Wtedy odpowiedzią był AWS Mariana Krzaklewskiego, kiełkujący na kanwie debaty konstytucyjnej i dyskusji o powrocie do nieskrępowanej aborcji. Na tej fali odbyło się sporo manifestacji i spotkań. Formuła AWS pokazała, że jeśli centroprawica, środowiska chrześcijańskie, demokratyczne, konserwatywne i solidarnościowe współdziałają, to mogą wygrywać wybory i uczestniczyć we władzy. To był istotny moment III RP.

A dziś? Widzi pan wspólne mianowniki między tym, co się działo w latach 90., a tym kroczącym rozłamem w Prawie i Sprawiedliwości, który teraz obserwujemy?

Wspólnym mianownikiem są osobowości rozsadzające rozmowy i ustalenia. Ludzie dziwili się i dziwią, dlaczego bliskie sobie programowo środowiska nie mogą się porozumieć i współdziałać czy to w koalicji rządowej, czy to w ramach list wyborczych. Warto zejść na poziom konkretnych decyzji. Sam byłem świadkiem rozmowy dwóch ważnych liderów – obaj już nie żyją – prawicowej i rozproszonej wówczas sceny partyjnej, w której jeden wypominał drugiemu, że w latach 50. na jakimś spotkaniu nie podał mu ręki. Jeden zapamiętał to drugiemu na tyle mocno, że miało to realny wpływ na ogląd rzeczywistości 40 lat później. W prawicowej polityce emocje osobiste często, chyba częściej niż po drugiej stronie barykady, zaślepiają rozum i strategię. To, że jeden lider nie lubi drugiego, jest normalne, ale że wpływa to na wszystko, co robi i jak decyduje, musi być czymś zaskakującym dla postronnego obserwatora.

Słucham tych historii i anegdot sprzed lat i w zasadzie można by je przyłożyć do dzisiejszego konfliktu na PiS-owskiej prawicy.

Sytuacja jest taka, że Mateusz Morawiecki posmakował władzy, chciałby wrócić na kluczowe stanowisko w państwie i nie bardzo potrafi się pogodzić z tym, że w polityce trzeba umieć czekać na odpowiedni moment. Dziś tego momentu nie ma. Morawiecki ma ambicje przejęcia w przyszłości całego PiS jako jego lider. Wywołało to naturalny opór nie tylko prezesa, lecz także jego otoczenia, czyli zakonu starych wiarusów Jarosława Kaczyńskiego, którzy są przy nim od lat. Cokolwiek by o nim mówić, stali przy nim zarówno w latach tłustych, jak i w chudych. I ta grupa polityków dostrzega w Morawieckim poważne zagrożenie, z czego ten zdaje sobie sprawę. A że przy tym jego ludziom, a kiedyś może i jemu samemu, stawiane są zarzuty dotyczące nieprawidłowości w Rządowej Agencji Rezerw Strategicznych, które mogą skutkować wyrokami i wykluczeniem z życia publicznego, to uznał, że najlepszą ucieczką do przodu jest zajęcie kluczowego stanowiska w państwie. Ale tu napotkał na ścianę w kierownictwie PiS.

Rozmawiam z obiema frakcjami i odnoszę wrażenie, że tu chodzi o głębszy konflikt niż tylko o ambicje Morawieckiego.

Zdecydowanie tak. W tym konflikcie widać różnice programowe, podejścia do prowadzenia polityki i stosunku do jej technokratycznego rozumienia. Morawiecki jako były menedżer bankowy ma zupełnie inne postrzeganie sytuacji społecznej i gospodarczej, a to czynniki wpływające na strategię wyborczą i sposoby pozyskiwania poparcia wyborców. Ten konflikt jest wielopłaszczyznowy. Nie wiemy, czym się to skończy, ale ten stan niepewności i zawieszenia trochę może się jeszcze przedłużać. Jarosław Kaczyński może kalkulować w następujący sposób: skoro i tak są z grupą Morawieckiego problemy, a grupa ta jest duża i niesterowalna, to może lepiej mieć mniejszą partię, za to pod całkowitą kontrolą? Poza tym na Nowogrodzkiej jest jeszcze inna pokusa, która może się zmaterializować, gdy Morawiecki i jego ludzie znajdą się poza PiS. Wszystkie decyzje i błędy wytykane dziś PiS przez obie Konfederacje zostaną uznane za autorską koncepcję Morawieckiego, z którą Kaczyński nie miał wiele wspólnego.

Ktoś w to uwierzy?

To inna sprawa. (śmiech) Opowieść przynajmniej pozornie będzie mieć ręce i nogi i może się przełożyć na to, że rozpad PiS nie będzie oznaczać większego spadku notowań. W pewnej logice podział może być korzystny dla obu stron. Gdyby Morawiecki przekroczył ze swoim nowym ugrupowaniem próg wyborczy w 2027 r., to stałby się języczkiem u wagi, jeśli chodzi o budowę ewentualnej centroprawicowej koalicji. Jakkolwiek rozstrzygnie się to w tym tygodniu, w przyszłym miesiącu czy przy układaniu list wyborczych, realnie to się już nie sklei. Nie ma takiej opcji po tych słowach, które padły.

Czym się różni obecna perspektywa rozłamu od nieudanych wcześniej prób PJN, ziobrystów, ruchu Polska XXI i kilku innych zawodników?

Ciężarem. Popatrzmy na polityczną wagę osób zaangażowanych w stowarzyszenie Rozwój Plus i liczbę parlamentarzystów, którzy przynajmniej na razie stoją przy Morawieckim – przyjmijmy, że stan gry na dziś to ponad 40 nazwisk. To obiektywnie bardzo duża grupa. Gdyby powstał z tego klub, byłby trzecią siłą w Sejmie. Nie można tego lekceważyć. Dymiący pistolet, który Morawiecki przystawił do skroni Kaczyńskiego, ma całkiem spory kaliber.

Nazwiska w Sejmie to jedno, dla mnie kluczowe jest pytanie, jak dużą pracę Morawiecki i jego ludzie wykonali w terenie: w strukturach PiS, wśród działaczy i wyborców.

eprasa.pl 603965d7a6

Powiem panu szczerze, że już rok temu dostawałem sygnały z niektórych regionów i struktur PiS, że osoby kojarzone z Mateuszem Morawieckim prowadziły sondażowe, niezobowiązujące rozmowy na temat tego, co by było, gdyby... Czy nowa formuła ma podglebie do wzrostu, czy są na to szanse? Dlatego jestem przekonany, że projekt Morawieckiego nie jest wymysłem ostatnich siedmiu tygodni czy nawet siedmiu miesięcy. To opracowana strategia, która zaczęła być wdrażana dużo wcześniej. I to również jest jego przewaga nad poprzednimi separatystami z PiS.

Mają szanse?

Doświadczenia poprzedników pokazują, że dość szybko przychodzi moment, który trzeba ustać. Zupełnie czymś innym jest zgoda niemałej grupy wyborców PiS, którzy mają liczne uwagi do Jarosława Kaczyńskiego: że jest za ostry, niezrozumiały, że nic nie rozumie. Ci, którzy wytykają to wszystko publicznie, są przez nich klepani po plecach. Ale gdy wychodzi się z partii, to – jak opowiadał mi po czasie jeden z liderów takiej nieudanej frondy – zaczyna brakować tlenu. Co innego krytykować, gdy jest się wewnątrz, pokazując niedociągnięcia, a co innego, gdy próbuje się prężyć poza strukturami. Wraca tu omawiana przez nas trauma sprzed trzech dekad, bo klasyczny wyborca PiS ma taki PESEL, że raczej pamięta tamtą historię i dość łatwo przychodzi mu uznać za awanturnictwo coś, co jeszcze wczoraj mógł przyjąć jako sensowny głos krytyki. Wtedy zaczyna brakować tlenu. Morawiecki zdaje sobie z tego sprawę, stąd długie przygotowania. Lecz musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy ustoi moment, gdy sondaże przestaną pokazywać 7 proc. Gdy media przestaną zapraszać do każdego programu. Zacznie się wtedy walka z cieniem i każdy z głównych aktorów na prawicy ma tego świadomość. Na tyle, na ile znam prezesa, to prędzej czy później czerwona linia zostanie przekroczona, a przy Nowogrodzkiej wygra myślenie, że kontrola nad partią jest ważniejsza niż utrzymanie wszystkich członków czy parlamentarzystów w klubie.

A nie ma pan wrażenia, że coś się skończyło? Że Jarosław Kaczyński nie jest dziś tak sprawny i sprawczy jak kiedyś i nawet prawicowa opinia publiczna nie patrzy jednoznacznie na Morawieckiego i jego ludzi jak na zdrajców?

Odpowiem inaczej: dawno, dawno temu, w latach 90., rozmawiałem ze znanym i cenionym komentatorem i obserwatorem życia politycznego, który tłumaczył mi, że Jarosław Kaczyński jest skończony. Słuchałem go uważnie, przedstawiał solidne i sensowne argumenty, a później okazało się, że to był okres odbudowy Kaczyńskiego i początek jego wielkich sukcesów. Dlatego jestem ostrożny w stawianiu tez, że coś się na pewno kończy. Drugi przykład, który daje mi do myślenia, to Jerzy Buzek. Pamiętam wieczór wyborczy po klęsce AWS w 2001 r. Atmosfera totalnej porażki, tezy, że Buzek jest skończony, były na porządku dziennym. Kilka lat później uzyskał rewelacyjny wynik w wyborach do europarlamentu, został jego przewodniczącym i okazało się, że w niczym nie przeszkadza mu to, że stał na czele niemiłosiernie krytykowanego rządu. Skądinąd, moim zdaniem, nie do końca słusznie. Trzeba ostrożnie budować i stawiać tezy. Polityka jest dynamiczna, zwłaszcza dziś, w dobie mediów społecznościowych. Życzę więcej pokory każdemu, kto porywa się na wielkie analizy.

Zgoda, ale pokora nie może przesłaniać chłodnego spojrzenia: prezes młodszy nie będzie.

Gdybyśmy mówili o perspektywie czterech czy ośmiu lat, pewnie miałby pan sporo racji. Ale przypomnę, że mówimy o najbliższych 12–14 miesiącach do wyborów. To przewidywalna cezura czasowa. Jarosław Kaczyński zdaje sobie sprawę, że w pewnym sensie to jego ostatni bój i że, parafrazując innego klasyka, polityka poznaje się po tym, jak kończy. Wybory w 2027 r. będą mieć duży wpływ na ocenę historyczną Kaczyńskiego.

Dzisiaj się rozejdą, a gdzieś w maju 2027 r. spotkają się na wielkim kongresie zjednoczeniowym?

Nie wykluczam tego scenariusza, ale jednocześnie proszę pamiętać, o czym mówiliśmy wcześniej: na prawicy cechy osobowościowe często biorą górę, a politycy nie wybaczają, gdy kwestionuje się ich autorytet. A nawet jeśli wybaczają, to nie zapominają, czego dowody widzimy także dziś. ©℗

FOT. MARCIN WZIONTEK/AGENCJA SE/EAST NEWS

Jan Maria
Jackowski
historyk, doktor nauk humanistycznych, analityk polityki, były parlamentarzysta

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

Polski sektor technologiczny konkuruje nie tylko kosztami. Coraz większe znaczenie mają kompetencje

Klienci nie oczekują dziś wyłącznie dostawców technologii. Coraz częściej szukają partnerów, którzy rozumieją ich biznes, potrafią wskazać kierunek transformacji i wspólnie budować przewagę konkurencyjną. Zdaniem Sebastiana Drzewieckiego, Regional Leader (CEE) w SoftServe, właśnie tak zmienia się polski rynek nowych technologii.

softserve

Od technologii do realnej wartości biznesowej

SoftServe od ponad trzech dekad rozwija globalne kompetencje technologiczne, a od 2014 roku buduje swoją organizację i specjalistyczne zespoły również w Polsce. Firma łączy strategię cyfrową, projektowanie produktów i zaawansowaną inżynierię z doświadczeniem w obszarze sztucznej inteligencji, analizy danych, rozwiązań chmurowych, cyberbezpieczeństwa, IoT, robotyki i automatyzacji. Dzięki temu wspiera klientów na całej drodze transformacji, od zdefiniowania problemu i stworzenia prototypu po wdrożenie rozwiązań działających na dużą skalę. Jak podkreśla Sebastian Drzewiecki: *„Klienci coraz częściej szukają partnerów, którzy są w stanie dostarczyć wartość biznesową, a nie tylko technologiczną”.*

AI i ludzie fundamentem cyfrowej transformacji

Sztuczna inteligencja, Physical AI, automatyzacja oraz rozwiązania chmurowe należą dziś do najważniejszych kierunków rozwoju przedsiębiorstw. Zdaniem Sebastiana Drzewieckiego sama technologia nie wystarczy. O skutecznym wykorzystaniu innowacji decydują jakość danych, znajomość procesów oraz umiejętność przełożenia technologii na cele biznesowe. *„Nie chcemy jedynie odpowiadać na potrzeby klientów. Chcemy pomagać im podejmować decyzje strategiczne, a następnie wspólnie wdrażać rozwiązania, które realnie zmieniają ich biznes”* – mówi Sebastian Drzewiecki. Przykładem takiego podejścia jest współpraca SoftServe z firmą Krones i jej partnerami technologicznymi nad cyfrowym bliźniakiem wykorzystującym sztuczną inteligencję w produkcji napojów. Rozwiązanie powstało w ciągu dwóch miesięcy i skróciło czas symulacji przepływu cieczy z trzech–czterech godzin do około 30 minut, zwiększając efektywność produkcji. SoftServe rozwija także kompetencje w zakresie robotyki i Physical AI m.in. w Robotics Lab we Wrocławiu. Otwarte w 2026 roku laboratorium umożliwia budowanie, testowanie i weryfikowanie rozwiązań od pierwszych prototypów po systemy przygotowywane do wdrożenia. Firma inwestuje również w rozwój pracowników. W 2025 roku 80 proc. zespołu rozwijało kompetencje w obszarze AI. Polskie zespoły technologiczne coraz częściej stają się strategicznymi partnerami dla globalnych organizacji, łącząc wiedzę technologiczną z realnymi potrzebami biznesu. O przewadze konkurencyjnej decydować będzie nie tylko dostęp do technologii, lecz przede wszystkim umiejętność przełożenia jej na trwałą wartość biznesową.

Aneta Żych

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl 603965d7a6

Idee

Wartość namacalna

Nie wszystko da się w pełni scyfryzować. A nawet jeśli się da, to nie zawsze należy

Sebastian

Stodolak

Aż 88 proc. Polaków zabiera ze sobą na urlop książkę, z czego znakomita większość drukowaną, a nie czytnik e-booków – wynika z badania VeloBanku. Nie zastąpiły więc papierowych książek ich wersje cyfrowe, choć te ostatnie zdobywają popularność. W skali globu rocznie wciąż wydaje się ok. 2,2 mld egzemplarzy drukowanych pozycji (dane UNESCO).

Gdy dłużej się nad tym zastanowić, wydaje się to nieoczywiste. Książka tradycyjna zajmuje przestrzeń, czasami sporo waży, łatwo ulega zniszczeniu i kosztuje więcej. Jest niepraktyczna. Jako że dla ludzi komfort jest najważniejszy, już dawno powinna odejść w zapomnienie. Nie odeszła. Czy to przyzwyczajenie?

To głos ludzkiej natury. Oto bowiem refleksja nad popularnością książki drukowanej prowadzi do ponownego odkrycia prawdy współcześnie coraz mniej oczywistej: nie wszystko da się zamienić na kod binarny, a przedmioty materialne są nie tylko użyteczną własnością, lecz przede wszystkim niezastąpionym źródłem kształtujących i ubogacających nas doświadczeń. Bez nich nie bylibyśmy sobą.

Tekst cyfrowy nie istnieje

W obcowaniu z książką papierową jest coś, co przypomina obcowanie z drugim człowiekiem. Tak jak człowiek opowiada nam ona rozmaite historie i tak jak człowiek bywa w tym niedoskonała: ze swoją często kiczowatą okładką czy pozaginanymi kartkami pełnymi plam po kawie i uwag pisanych odręcznie na marginesach.

Organoleptyczne doświadczanie papierowej książki opisuje lapidarnie na swoim niepapierowym serwisie X Nassim Nicholas Taleb, probabilista, trader i filozof: „Książka to prawdziwy przedmiot, zakorzeniony w rzeczywistości. Czytając konkretne wydanie, zapamiętujesz nie tylko treść, ale i sam ów przedmiot: jego okładkę, typografię, zapach, a nawet miejsce, w którym dany fragment znajdował się na stronie. Książki porządkują się w pamięci według miejsca – zgodnie ze starożytną metodą loci. Tekst cyfrowy nie istnieje".

To ostatnie zdanie brzmi wyjątkowo mocno: „Tekst cyfrowy nie istnieje". Ale w jakim sensie? Nie angażuje naszych zmysłów i umysłów. Smakuje jak woda utleniona. Nie wnika w naszą psychikę, ale tylko się przez nią przesącza. Tekst drukowany natomiast daje nam nie tylko informację, lecz także kształci oraz pogłębia naszą zdolność rozumienia świata. Bo oddziałuje na nas na wielu poziomach. Zostaje w nas i pracuje w nas, nawet gdy książkę już odłożyliśmy.

Nie myślcie, że daję tu wyraz poetyckiej nostalgii, bo to, o czym mówię, to rzecz zbadana. Na przykład z opublikowanej w 2018 r. metaanalizy „Don't throw away your printed books" wynika, że lektura tego samego tekstu na papierze daje przeciętnie lepsze wyniki w testach rozumienia niż lektura na ekranie. Co znamienne, efekt ten nie maleje wraz z upowszechnianiem urządzeń cyfrowych, co przeczy intuicji, że samo oswojenie z ekranem zniweluje różnicę między mediami.

Jeszcze wymowniejsze okazują się badania dotyczące nie pojedynczego aktu lektury, ale nawyku czytania. W pracy „Do New Forms of Reading Pay Off?" z 2025 r. czytamy, że 10 godzin nad papierową książką daje przyrost kompetencji czytelniczej od sześciu do ośmiu razy większy niż 10 godzin przed ekranem. Oszacowanie to jest ekstrapolacją wynikającą z metaanalizy 25 badań prowadzonych przez 20 lat na próbie liczącej prawie 470 tys. osób.

Ale najciekawsze rzeczy związane z lekturą książek papierowych dzieją się nie w jednym mózgu, lecz pomiędzy dwoma. W 2025 r. w piśmie „Acta Paediatrica" opublikowano wyniki eksperymentu z użyciem hiperskanowania, techniki polegającej na jednoczesnym zapisie EEG u dwóch osób. Rodzic i dziecko czytali razem, raz z papierowej książki, raz z ekranu, a synchronizacja aktywności mózgowej między nimi pojawiła się wyłącznie podczas lektury książki. Jak widać, papierowe książki naprawdę łączą ludzi.

Veni, vidi, vinyl

Ale przecież nie tylko książki mają cechy, których nie da się w pełni przenieść do świata wirtualnego. Opornych na cyfryzację form jest dużo więcej. Wymownym przykładem są jakże niedoskonałe pod względem technicznym płyty winylowe. Ten wyjątkowo nieporęczny, łatwo ulegający zarysowaniu i skrzypiący nośnik miał ustąpić płycie CD. Na początku lat 90. XX w. sprzedaż winyli spadła niemal do zera i do połowy pierwszej dekady nowego milenium wydawało się, że tak pozostanie.

W tym czasie armagedon dotknął płyt CD. Muzyka została tak silnie zepchnięta w przestrzeń streamingu, że wszystkie te dodatkowe warstwy doświadczeń, którymi obrastała dzięki nośnikom fizycznym, zaczęły zanikać. Mniejsze znaczenie miały okładki, niepotrzebne stały się książeczki z tekstami utworów, zanikać zaczęła sama idea albumu jako pewnego spójnego zestawu kompozycji umieszczonych na nagraniu w nieprzypadkowej kolejności. Natychmiastowa i powszechna dostępność cyfrowej wersji premierowych utworów odebrała sens czasochłonnemu polowaniu na nowości płytowe i traktowaniu ich niczym trofeum.

W pewnym momencie jednak coraz liczniejsza rzesza fanów zaczęła odczuwać pustkę cyfrowej konsumpcji muzyki – i sięgać po winyle. Choć żaden luddysta nie podpalił serwerowni Spotify ani nie zhakował iTunes (i dobrze), to ok. 2005 r. nastąpiło nagłe odrodzenie płyt winylowych: pojawiły się reedycje i nowe wydawnictwa. „Forbes" podaje, że w 2025 r. w samych tylko Stanach Zjednoczonych sprzedało się na winylu 48,5 mln nowych albumów, gdy na płytach CD zaledwie ok. 29,5 mln. Jack White, założyciel zespołu The White Stripes, w jednym z wywiadów poczynił uwagę bliską temu, co Taleb pisał o książkach: „Dopóki nie kupisz płyty winylowej, dopóty nie posiadasz albumu naprawdę. Zapach winylu, jego ruch w trakcie odtwarzania mają w sobie swoistą romantykę. Ona jest nieobecna natomiast, gdy słuchasz mnie śpiewającego do ciebie z iPoda".

Tę romantykę mają też niepoddające się cyfrowej epoce gry planszowe. Nie zanikają one pod naporem rozrywki wideo, a przeciwnie – ich rynek rośnie w tempie, którego pozazdrościłaby niejedna branża nowych technologii. Oszacowania wartości globalnego rynku wahają się dziś między kilkunastoma a 20 mld dol. rocznie, zależnie od przyjętej metodologii, a wszystkie prognozy zgodnie zakłada-

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. BRAT_PIKACHU/ISTOCKPHOTO/GETTY IMAGES

ją jego podwojenie w ciągu najbliższej dekady. Podobne tempo wzrostu notowała w ostatnich latach fotografia natychmiastowa, kojarzona powszechnie z marką Polaroid. Fujifilm ogłosił w kwietniu 2025 r., że od debiutu serii Instax w 1998 r. sprzedał ponad 100 mln aparatów i drukarek tej linii, notując rekordowe wyniki czwarty rok z rzędu. Ryuichiro Takai, jeden z dyrektorów w firmie, zauważył w jednym z wywiadów, że atrakcyjność tych aparatów jest całkowicie sprzeczna z logiką wydajności, na której opiera się fotografia cyfrowa. Sam Polaroid, który zbankrutował w 2001 r., także wrócił do gry, a w odrodzeniu tym pomogła grupa inwestorów kierowana przez rodzinę Smolokowskich.

W tym niewielkim zdjęciu, które możesz obracać palcami, powiesić z sentymentem na tablicy czy ze złością poszarpać na kawałki, tkwi namacalna wartość, której nie mogą zawierać jego cyfrowe reprodukcje. Te są zawsze zaledwie odległym odwzorowaniem, z konieczności mniej doskonałym – nie tylko dlatego, że nie istnieją kopie doskonałe, ale przede wszystkim dlatego, że oderwane od fizycznego nośnika gwarantującego pełnię zmysłowego doświadczenia. To, co fizyczne – dając nam możliwość doświadczania – umożliwia nam poznawanie. W filozofii pogląd ten określa się mianem poznania ucieleśnionego. Nasz organizm to nie jest wyłącznie machina kalkulująca, ale machina ucząca się z doświadczeń naszego ciała w świecie fizycznym. W świecie przedmiotów trójwymiarowych, pachnących, łamliwych, niebezpiecznych, smacznych, pięknych i obrzydliwych.

Kotwica fizyczności

Wolimy doświadczać niedoskonałej materii niż doskonałości na ekranie. Wolimy rzeczywiste przyjemności od sztucznych przyjemności świata wirtualnego. Nie w sensie absolutnym – a w tym tylko, że tych pierwszych nie chcielibyśmy zrzec się całkowicie. Przekonany był o tym Robert Nozick, amerykański filozof polityczny, w książce „Anarchia, państwo, utopia" proponując następujący eksperyment myślowy: wyobraźmy sobie maszynę potrafiącą zapewnić człowiekowi dowolne, całkowicie realistyczne i wyłącznie przyjemne doświadczenia, choć żadne z nich nie działoby się naprawdę. Zdaniem Nozicka zdecydowana większość ludzi nie chciałaby jednak spędzić z taką maszyną życia. Zależy nam przecież nie tylko na poczuciu, że kochamy, tworzymy czy odnosimy sukcesy, lecz także na tym, by rzeczywiście kochać, tworzyć i działać. Dlatego do katalogu przedmiotów opornych na cyfryzację zaliczają się także te, które możemy stworzyć własnoręcznie. Nie wyginęło dzierganie na drutach, szydełkowanie, garncarstwo, haftowanie, obróbka drewna czy uprawianie ogródka. Zajęcia te – kiedyś będące koniecznym elementem życia – stały się popularnym hobby zakotwiczającym nas w fizyczności, szczególnie popularnym w pokoleniu Z. I – zgodnie z teorią poznania ucieleśnionego – zyskujemy dzięki nim możliwość konceptualizacji świata, której nie uzyskalibyśmy wyłącznie patrząc nań przez szybkę smartfona. Nasz umysł nie rozwinąłby się w równym stopniu.

Niestety, istnieje jedno zajęcie odchodzące jednak do lamusa, którego zanik realnie nas zubaża. Co prawda, wciąż uczymy się je wykonywać, ale z czasem może być to równie sensowne, jak nauka starożytnej greki po to, by posługiwać się nią w zwykłym życiu. Chodzi o pisanie odręczne.

Z badań neurobiologów wynika, że pisanie odręczne tworzy znacznie bardziej złożone wzorce połączeń mózgowych niż pisanie na klawiaturze, a precyzyjne ruchy dłoni podczas formowania liter wzmacniają połączenia mózgowe wspierające proces uczenia się i wyciągania wniosków. Wystukując kolejne litery na klawiaturze, stajemy się po prostu odrobinę głupsi. (Tu muszę się do czegoś niewygodnego przyznać: choć artykuł niniejszy stara się być pochwałą świata analogowego, to ma w sobie ziarno hipokryzji: nie jest pisany piórem...). Niektórzy – jak choćby teoretyk kultury Byung-Chul Han – uważają wręcz, że świat wkracza w epokę nierzeczy redukujących rzeczywistość do informacji. Stajemy się ślepi na to, co małe, niepozorne, zwyczajne, przypadkowe.

Czy to proces nieuchronny? Oby nie, zwłaszcza jeśli rację ma lingwista George Lakoff, który twierdzi, że „sensowne myśli można mieć wyłącznie dzięki relacji z ciałem" doświadczającym bodźców, które wynikają z interakcji ze światem, a które nie są jedynie pozorowane, fikcyjne, oparte na złudzeniu. W takiej sytuacji pełne zanurzenie w nierzeczach oznacza zanik myślenia. Zgodziłby się z tym zapewne wybitny fenomenolog percepcji Maurice Merleau-Ponty, dla którego ciało to podstawowe narzędzie poznania, a filozof technologii Albert Borgmann dodałby zapewne, że cyfrowe urządzenia mogą dostarczyć funkcję, ale nie staną się miejscem, wokół którego będą gromadzić się ludzie, by praktykować rytuały ogniska domowego, kultury stołu, biegania, gry na instrumentach czy czytania – czyli czynności nadające życiu sens. Co prawda istnieje dzisiaj pojęcie YouTube party, ale jest ono raczej używane pejoratywnie – jako odniesienie do tego wygasającego momentu imprezy, gdy jej umęczeni uczestnicy mają siłę już tylko na pokazywanie sobie głupich filmików z sieci.

Porażka Zuckerberga

Czy grozi nam całkowita przeprowadzka do świata wirtualnego? Oczywiście nie. Przynajmniej dopóki ktoś siłą bądź podstępem nie podepnie nas do jakiejś wersji matrixa. Jednocześnie nie możemy być ślepi na to, że od czasu do czasu pojawiają się próby skłonienia nas, byśmy zrobili to dobrowolnie.

Podjął się takiej próby cztery lata temu Mark Zuckerberg, próbując stworzyć Metaverse, świat cyfrowych awatarów. Do dzisiaj bawi mnie do rozpuku film reklamowy, w którym ideę tę biznesmen przedstawiał, „chodząc" po wirtualnym biurze i „witając się" z wirtualnymi współpracownikami. Bawi mnie, bo estetyka tej wirtualnej animacji przywodzi na myśl kiczowate kreskówki, a sam Zuckerberg wpisuje się w to, mówiąc do widza jak do bardzo małego dziecka. Z perspektywy czterech lat od ogłoszenia projektu można powiedzieć, że Metaverse nie wypalił. Wielu ekspertów twierdzi, że zainwestowanie weń niemal 80 mld dol. jest jednym z największych błędów biznesowych świata nowych technologii.

Dzisiaj trudno wyobrazić sobie, by realność materialnego doświadczenia została przez ludzi porzucona. Kapitulacja Metaverse, spektakularna klapa NFT, czyli projektu, który miał rynek dzieł sztuki przenieść z galerii do sieci, a także seryjne i beznadziejne porażki tych, którzy chcieliby odebrać ludziom fizyczną gotówkę na rzecz pieniądza elektronicznego, świadczą o tym, że to, co materialne, wciąż ma w sobie romantykę. Mają ją w sobie wszystkie formy, w których przedmiot uczestniczy w treści, a nie tylko ją przechowuje. Ale czy tak będzie zawsze? Świat się starzeje, a związana z tym epidemia samotności, która już się zaczęła, daje grunt pod kolejne próby cyfryzacji wszystkiego. Bo skoro żywotna młodość opuści świat rzeczywisty, cóż bardziej intuicyjnego niż zaoferować jej oparty na AI niematerialny substytut przyklejonym do ekranów seniorom? Zuckerberg nie przyznał się do porażki i nie porzucił Metaverse – po prostu rozłożył jego realizację w czasie. Do 10–15 lat.

Bogiem a prawdą, najbardziej nieufni powinniśmy pozostać wobec siebie samych. To my sami zbyt często – być może właśnie z wygody – pielęgnujemy w sobie złudzenie, że w smartfonie możemy zmieścić całe bogactwo życia. Powinniśmy otrzeźwieć.

Czy to oznacza porzucanie technologii? Nie. To oznacza dorastanie do korzystania z nich we właściwy sposób. Czasami w taki, który wspiera real – np. odrodzenie robótek ręcznych napędzają tutoriale na YT, grupy na TikToku i sprzedaż przez Etsy, a zatem narzędzia cyfrowe nie zastępują tu materialnej praktyki, lecz jej służą. „Z jednej strony możemy nadal iść na oślep naprzód, kierując się imperatywem Doliny Krzemowej, by stworzyć świat, w którym technologia cyfrowa jest siłą napędową, a możemy też zatrzymać się na chwilę, wyciągnąć wnioski z trudnych doświadczeń związanych z cyfrowym zanurzeniem, jakiego doświadczyliśmy podczas pandemii, i budować przyszłość, w której technologia cyfrowa faktycznie wzbogaca najcenniejsze elementy świata analogowego, zamiast je zastępować" – nawołuje David Sax w książce o wymownym tytule „Przyszłość jest analogowa" (sprawdziłem – dostępna jako e-book).

Tak jak Sax, zdecydowana większość myślicieli zajmujących się nowymi technologiami i ich wpływem na nasze życie sugeruje poszukiwanie równowagi. Byung-Chul Han przejściu w świat nierzeczy przeciwstawia kontemplację, sztukę zatrzymania się, rytuały, uważne słuchanie oraz odbudowę bezpośrednich relacji z ludźmi, przyrodą i przedmiotami. Chodzi o odzyskanie takiego sposobu życia, w którym świat nie jest jedynie zbiorem dostępnych danych, lecz czymś stawiającym opór i wymagającym uwagi, a także odwagi. Czymś, z czego nie da się wylogować – szybko, bez konsekwencji. ©℗

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. LEE LIU/SHUTTERSTOCK

Bezczynność staje się antysystemowa

Zaniechanie nie musi oznaczać braku aktywności i zaangażowania, a tylko – a może aż – tyle, że jeśli pozwolisz sobie na wycofanie, odmowę czy przerwę od działania, to masz szansę pomyśleć inny świat

Z Zofią

Zaleską

rozmawia Katarzyna Kazimierowska

Ostatnio natknęłam się na historię Nadine Wagenaar, Niemki, która przez dwa lata opowiadała na swoim profilu społecznościowym, jak spędza czas na bezrobociu. Pisała np.: „Dziś jest 149. dzień, odkąd zostałam zwolniona. Idę na sushi". Przyznawała się też do pobierania zasiłku dla bezrobotnych. Niektórzy doceniali, że w trudnej sytuacji stać ją na poczucie humoru, inni nazywali ją leniem, trutniem, który wykorzystuje państwo, pytali, jak może czerpać radość z życia, będąc bez pracy. To mi przypomniało zdanie z twojej książki, że wycofanie jest czymś, czego społeczeństwo nie akceptuje.

W tej historii złość innych wzbudziło nie tyle wycofanie, ile raczej obnoszenie się z porażką, żartowanie z sytuacji, którą powinniśmy ukrywać i starać się jak najszybciej zmienić. Dokumentując swój okres bezrobocia w mediach, które służą obwieszczaniu sukcesów i osiągnięć, Wagenaar wzbudziła złość. Pokazała ambiwalencję czasu bez pracy, który nie jest przecież tylko okresem cierpień i wyrzeczeń. Bezrobotna, która je sushi, kłuje w oczy, bo jeśli pozwalam sobie na przyjemności, to dlatego, że zasłużyłam na nie ciężką pracą.

A jeśli nie zapracowałam?

To powinnaś się wstydzić, a nie chwalić się tym w sieci. Czasem odprawiamy spektakl pożałowania nad kimś, komu nie wyszło, ale mimo wyrazów współczucia taka osoba szybko staje się persona non grata, tak jakbyśmy bali zarazić się jej nieporadnością i kojarzyć się z otaczającą ją aurą porażki.

W naszej kulturze panuje kult pracy, więc jeśli ktoś się z tego wypisuje – nie wstydzi się bezrobocia, odmawia kolejnego zlecenia, kwestionuje sens pracy – to podważa istnienie systemu i może się stać dla niego zagrożeniem. To też nic nowego, że inne niż nasze postawy wobec życia, które wybijają nas z naszych rutyn, odreagowujemy zdziwieniem, złością, osądem.

W „Zaniechaniu" zwracasz uwagę na to, że kobiety, które nie pracują, są uważane za próżne i leniwe. A jeśli pracują, o ich wysiłku się nie mówi. Osiągnięciami mogą się chwalić mężczyźni, u kobiet to podejrzane.

W książce przedstawiam najróżniejsze postaci, które w jakiś sposób nie spełniły pokładanych w nich oczekiwań. Na przykład J.D. Salingera, który po napisaniu „Buszującego w zbożu" zamilkł na dekady, czym wzbudził furię swoich fanów, a jego milczenie obrosło legendami i teoriami spiskowymi. Zastanawiam się, dlaczego czasem działamy nie w swoim interesie, rezygnujemy z czegoś, w czym osiągamy sukcesy, jak np. Rimbaud, genialny poeta, który w wieku 19 lat porzucił pisanie i nigdy nie dbał o losy swojej twórczości.

Kobiety i zaniechanie to skomplikowany temat. Poświęciłam mu osobny rozdział, bo czułam, że nie bez powodu wśród moich bohaterów jest tak wielu mężczyzn. Ten rozdział roboczo nazwałam „niezaniechanie", ponieważ kobiety rzadko mają przestrzeń na odmowę działania. Trudno im czegoś zaniechać, bo zwykle są za kogoś odpowiedzialne, wykonują ogrom pracy emocjonalnej i opiekuńczej. I jest to często praca niedoceniana i nienagradzana, odbywająca się w cieniu, bez fanfar. Jeżeli kobiety decydują się na zaniechanie, to zazwyczaj wiąże się to z porzuceniem przypisanych im społecznie ról i jest to dramatyczna decyzja, drastyczne cięcie.

To może zdefiniujmy zaniechanie. Jak je rozumiesz? Czy to wypisanie się ze społecznych reguł – ze wszystkimi konsekwencjami – czy rezygnacja z uczestniczenia w społeczeństwie?

Zaniechanie ma dla mnie urok czegoś zakazanego, jakiś buntowniczy potencjał. To odmowa oczekiwanego działania, podważanie przekonania, że coś zawsze jest lepsze niż nic, że lepiej coś zrobić, niż później żałować. Nie interesuje mnie pięknoduchowski gest porzucania wszystkiego, wypisywanie się z życia na stałe, ciekawi mnie, czy i kiedy możemy powiedzieć „nie" i co się dzieje, jeśli to zrobimy. Mamy być nieustannie kreatywni i przebojowi, a przecież nie na wszystko mamy odpowiedź „tak", możemy też nie chcieć, nie móc, nie mieć siły.

Zdaję sobie sprawę, że zaniechanie jest przywilejem, nie wszyscy mogą sobie pozwolić na odmowę. Wiele osób czy grup społecznych nie zaniechuje, ale jest poniechiwanych – odmawia się im praw, unieważnia ich wysiłki, skazuje na zapomnienie. Ciekawe jest dla mnie przyglądanie się, w jaki sposób negocjujemy możliwości własnego zaangażowania, nie tylko współcześnie.

Spójrzmy na zaniechanie pokoleniowo. W latach 90. wpajano nam, że sky is the limit; trzeba kończyć studia, najlepiej kilka kierunków, uczyć się języków i pracować do utraty sił. Po czym przyszło pokolenie Z, które udziału w kulturze zapierdolu odmawia, negocjuje warunki pracy, podkreśla wagę odpoczynku. Jeszcze kilka lat temu czytaliśmy, że im się w głowach poprzewracało, roszczeniowym dzieciakom, a teraz coraz częściej eksperci mówią, że ich postawa jest słuszna, że to z nami jest coś nie tak, a oni widzą, że wartość nie leży we własnej nadproduktywności i w konsumowaniu.

Każda generacja musi w jakiś sposób zdefiniować swoje podejście do pracy, w jakimś sensie dyskusja o pracy opowiada historię pokoleń. Ja urodziłam się w latach 80. i dobrze pamiętam przekaz, że praca powinna być moją pasją, było chyba nawet takie hasło – „kiedy praca stanie się twoją pasją, to nie przepracujesz w życiu ani jednego dnia".

To jest chyba największe oszustwo na rynku pracy, oprócz innych złotych myśli, że pracujemy dla misji, a zespół jest jak rodzina.

To sprytny ruch – wmówić komuś, że powinien kochać swoją pracę lub postrzegać codzienną harówkę jako coś, co go nobilituje. Kapitalistyczny system umiejętnie wykorzystuje nasze poczucie odpowiedzialności, potrzebę sensu i wspólnoty, by praca jawiła się nam jako coś więcej niż zdobywanie niezbędnych środków do życia, zajęcie, które powinno podlegać konkretnym prawom i regulacjom.

Zaniechanie nie musi oznaczać braku aktywności i zaangażowania, a tylko – a może aż – tyle, że jeśli pozwolisz sobie na wycofanie, na przerwę od działania, to masz szansę pomyśleć inny świat. To brzmi górnolotnie, ale chciałabym wierzyć, że tak jest. Oczywiście luki, które powstają, gdy ludzie zaczynają wątpić w sens „kultury zapierdolu", system wypełnia propozycją odpoczynku, ale – znowu – kapitalizując tę ideę.

Pojawiają się kultura wellness i np. retreat w górach albo bardzo droga mata do jogi.

Tak, zamiast odpoczywać, realizujemy „projekt wakacje" i przy okazji pokazujemy w social mediach, jak nam cudownie w tych górach. Kapitalizm wszystko zagospodaruje, nawet czas wolny. Spójrz, dyskusja o potrzebie odpoczynku od razu zamienia się w wyliczankę produktów: suplementy na wszystko, wygodne poduszki, poszewki z jedwabiu, piżamy ze specjalnej bawełny, aplikacja do monitorowania snu, zegarki do liczenia kroków. Coś, co przedstawia się nam jako wybór czy wachlarz możliwości, jest nim często tylko pozornie i wcale nie prowadzi do pełniejszego życia, większej wolności dla nas i naszych bliskich. Dlatego bezczynność staje się antysystemowa.

Skąd temat zaniechania? Jak do ciebie przyszedł?

Chyba zawsze mi towarzyszył. W świecie przesytu i zagonienia kategoria zaniechania wydaje mi się po prostu inspirująca. Wiele razy fantazjowałam, żeby koncertowo coś zaprzepaścić, i śledziłam tych, którzy na różne sposoby to zrobili. Z książek, filmów, ze sztuki wyławiałam postaci, które nie wpisywały się w dyktat produktywności i pozytywności. Książka powstawała długo, m.in. w czasie mojego wczesnego

eprasa.pl 603965d7a6

macierzyństwa, czyli w okresie, który jest przeciwieństwem zaniechania – to czas, kiedy jest się mocno emocjonalnie i fizycznie zaangażowanym w drugiego człowieka. Gdy ja pisałam o zaniechaniu, inni – mąż, dziadkowie, niania – opiekowali się dzieckiem. Ktoś musiał zadbać o mnie, abym ja mogła pisać. W jakimś sensie praca była wtedy dla mnie rodzajem pauzy, choć przecież nie były to wakacje.

A dziś znajdujesz czas na pauzę?

Staram się, ale mam problem z odpoczywaniem. Przyłapuję się na tym, że robię wszystko naraz: słucham podcastu i sprzątam, oglądam serial i gotuję, idę z psem i załatwiam coś przez telefon – w efekcie jestem przebodźcowana. Pewnie dlatego chętnie tropię świadectwa o tych, którzy potrafią odpuszczać i rezygnować. Ostatnio usłyszałam, że młodzi ludzie odkrywają ideę spacerowania. Trendem na TikToku jest pokazywanie filmików ze spaceru – bez słuchawek, podcastu, telefonu. Po prostu chodzenie bez celu. Szokujące, co?

Z kolei muzea, jak warszawskie Muzeum Narodowe, zapraszają na wieczory slow looking. Chodzi o to, żeby zatrzymać się na dłużej przy jednym dziele sztuki, zamiast poświęcać mu zaledwie kilka sekund. Niech to będzie jeden obraz, kilka zamiast wszystkich, ale w spokoju i uważnie.

Ja trafiłam na ideę niewidzialnego dnia. To dzień, w którym odcinasz się od mediów społecznościowych, od aktywności internetowej, także od odpisywania na e-maile. I jeśli tego potrzebujesz, to w trakcie pracy zdalnej wypisujesz się na kilka godzin, ograniczasz bodźce. Ale nie bierzesz urlopu, po prostu wyciszasz pracę związaną z używaniem internetu, czyli stajesz się niewidoczna w sieci.

Robisz tyle, ile musisz, nic więcej. Ale zawsze z cichym przyzwoleniem ze strony systemu, bo wypisujesz się tylko na chwilkę.

Czytałam twoją książkę i jednocześnie „Urodziny" Weroniki Murek. Jej bohaterka jest tak zmęczona, że nie stać jej na troskę i zainteresowanie innymi z jej otoczenia. Z książki przebija refleksja, że wszyscy jesteśmy zbyt przytłoczeni, żeby się zająć sprawami, które pozornie nas nie dotyczą. Ale czy to nas zwalnia z brania odpowiedzialności za wspólnotę i pozwala się skupić tylko na sobie?

Zaniechanie, jako decyzja indywidualna, wiąże się z dyskusją na temat wspólnotowości i indywidualizmu. Pisząc książkę, zastanawiałam się oczywiście, czy to w porządku, że zajmuję się zaniechaniem, gdy tyle rzeczy wokół domaga się działania. Nie uważam jednak, że istnieje znak równości między zaniechaniem a tumiwisizmem, że jeżeli czegoś odmówię, to automatycznie głoszę samolubną postawę skrajnego indywidualizmu i niezainteresowania rzeczywistością. To bardziej skomplikowane. Bo czy aktywność zawsze przyczynia się do zwiększenia dobra? Czy bezsilność to zawsze porażka? Nie wierzę, że odpowiedzią na wszelkie wyzwania zawsze musi być działanie.

Amerykańska artystka Jenny Odell w wydanej kilka lat temu książce „Jak robić nic. Manifest przeciw kultowi produktywności" napisała o tym, jak w proteście wobec systemu kapitalistycznego postanowiła robić rzeczy, które produktywne nie są. Na przykład spacerowała w środku dnia dla samej przyjemności spacerowania. W pewnym momencie dotarło do niej, że energię skierowaną na pracę i wytwarzanie można przekierować na bycie dla innych. I to może być pierwszy krok w stronę nawiązania dialogu, pomyślenia o sobie w kontekście większego obrazka, może wspólnoty.

Podoba mi się to podejście, to wspaniale, że Odell doszła do takiego wniosku. Sama nie postrzegam zaniechania jako drogi do spełnienia czyichś oczekiwań, ale bardziej jako egzystencjalną możliwość, którą przegapiamy bombardowani przekazami o naszej sprawczości i mocy. Wypisując się czy odmawiając, możemy zyskać przestrzeń i ochotę na inne działania, ale nie musimy. Jeśli przekierowanie energii na coś innego stanie się naszym celem, to znowu wpadamy w pułapkę, tylko inaczej nazwaną.

Wspomniana na początku naszej rozmowy Nadine Wagenaar została oceniona przez społeczność internautów, bo zrobiła coś niestandardowego i nie trzymała się reguł gry. Gdy wkracza grupa, pojawiają się zasady, normy, konformizm. Postaci, które opisuję w książce – uwielbiany pisarz, który przestaje publikować, kobiety, które postanawiają zniknąć, artystki wybierające zapomnienie, ludzie marnujący talenty i potencjał – są jak ten pingwin z filmu „Spotkania na krańcach świata" Wernera Herzoga, który oddala się od stada i z niewiadomych przyczyn rusza w odwrotnym kierunku – funkcjonują na obrzeżach, kwestionują utarte ścieżki, odmawiają uczestnictwa i te wybory też wydają mi się warte przemyślenia. ©℗

FOT. TOMASZ STĘPIEŃ/ KARAKTER/MAT. PRASOWE

Zofia

Zaleska

Kulturoznawczyni. Współpracuje z Dwutygodnikiem i „Nowymi Książkami". Autorka książek „Przejęzyczenie. Rozmowy o przekładzie" (Czarne) oraz zbioru esejów literackich „Zaniechanie" (Karakter)

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Staliśmy się nowymi Niemcami

Marcin **Kędzierski**

Kiedy słucham relacji z zagranicznych wakacji, już w pierwszych zdaniach pojawia się zwykle komentarz, że było brudno. Z kolei obcokrajowcy wspominający pobyt w naszym kraju często podkreślają, jak bardzo Polska jest bezpieczna i czysta. Sami też lubimy się szczycić porządkiem, jaki u nas panuje (nawet jeśli to nie zawsze prawda).

Oczywiście można uznać te obserwacje za powierzchowne. Wydaje mi się jednak, że mówią one wiele o współczesnej Polsce. Swoisty fetysz czystości, który przebija się zarówno w codziennych rozmowach, jak i w mediach społecznościowych, daje wgląd w zbiorową (pod)świadomość Polaków. Raczej nie jest przypadkiem, że w naszych galeriach handlowych unosi się intensywny zapach środków czystości, a osoby sprzątające są zawsze w zasięgu wzroku, utwierdzając nas w przekonaniu, że o porządek dba się nieustannie. Zarządzający takimi obiektami menedżerowie wiedzą, że odpuszczenie tego elementu może negatywnie wpłynąć na sprzedaż i liczbę odwiedzających. Dlatego ma się błyszczeć i lśnić.

Podobne zjawisko dotyczy też innych przestrzeni publicznych – przychodni, szkół, urzędów, stacji benzynowych. Czystość daje nam poczucie bezpieczeństwa i wzbudza zaufanie. Ale chodzi o coś jeszcze. Porządek stał się jednym z wyznaczników statusu. Gdy u progu transformacji ustrojowej marzyliśmy o dołączeniu do Zachodu, nasze portfele świeciły pustkami, drogi straszyły dziurami, a szpitale – odrapanymi ścianami. W praktyce jedynym wymiarem, w którym można było od razu poczuć się jak w mitycznej Europie, był właśnie porządek. Potrzebę tę świetnie odczytały globalne koncerny chemiczne, które z impetem weszły na nasz rynek na początku lat 90. Z początku ich przekaz marketingowy skupiał się na krystalicznej czystości i zachowaniu śnieżnej bieli ubrań. Było to jak symboliczne odcięcie się od szarzyzny PRL. Kilka lat później kampanie reklamowe zaczęły też podkreślać aspekt zapachowy, który wkrótce zdominował przekaz.

Tak jest do dziś – świeżość kojarzy się nam z dużym dodatkiem substancji zapachowych do środków czystości. Z czasem producenci detergentów stworzyli specjalne linie przeznaczone na polski rynek, co miało skutki uboczne: proszki mocniej pachniały, ale nieco gorzej usuwały plamy. To jeden z powodów wyjaśniających popularność chemii z Niemiec, która w ocenie wielu osób jest skuteczniejsza niż środki dostępne w polskich supermarketach. Niekoniecznie wynika to z wyjątkowości produktów sprzedawanych u naszego zachodniego sąsiada – bardziej chodzi o to, że niektórzy uznali zagraniczne detergenty za bardziej „luksusowe".

Innym przejawem obsesji na punkcie czystości i porządku była „gorączka remontowa" – zjawisko opisane zarówno przez badaczy, jak i publicystów, choćby takich jak Filip Springer. Za drzwiami mieszkań w odrapanych blokach z wielkiej płyty kryły się nieraz prawdziwe pałace. Klatka schodowa mogła być zapuszczona, ale po przestąpieniu progu wchodziło się do innej rzeczywistości. Naturalnie, żeby nie zanieczyścić domowej świątyni, najpierw należało zdjąć buty. Springer pisał, że po 1989 r. gładź gipsowa stała się u nas czymś na kształt religii: wszystko miało być gładkie, równe i proste. Krzywe ściany w PRL-owskich blokach były jak skaza na nowo odzyskanej wolności, więc trzeba było je za wszelką cenę zaszpachlować i przywrócić do pionu.

Współcześnie zjawisko to uległo rozszerzeniu – Polacy inwestują mniej w dopieszczanie mieszkań, a więcej w estetykę domów, ogrodów i ogrodzeń. Trawnik jak na Wimbledonie, schludne obejścia z kwiatami, nowiutkie płoty z metaloplastyką zamiast betonowych paneli, a do tego piękne elewacje. Za ogrodzeniem może stać cokolwiek – może nawet lepiej, gdy nie jest za ładnie, bo wtedy nasz dom jeszcze bardziej się wyróżnia i podkreśla nasz społeczny status.

Powstała osobliwa mieszanka: z jednej strony nieraz przesadny porządek, a z drugiej – chaos i nieład. Mityczny, poukładany Zachód stopiony ze wschodnim bałaganem. Napływ funduszy strukturalnych po wejściu do Unii Europejskiej wywołał rewolucję. Dzięki nim rozpoczęliśmy wielką modernizację przestrzeni publicznej. Urzędy, dworce, domy kultury, muzea i hale sportowe przeszły gruntowne renowacje. Po ponad 20 latach staliśmy się krajem z nowoczesną (jeśli nie najnowocześniejszą w Unii) infrastrukturą.

Warto jednak podkreślić, że odziedziczona po wcześniejszym okresie troska o czystość wciąż pozostaje ważnym elementem życia prywatnego i społecznego. Tak jak wcześniej cieszyliśmy się naszymi sterylnymi czterema ścianami, tak dziś czujemy dumę narodową, gdy Niemcy czy Francuzi zachwycają się tym, jak piękny, czysty i bezpieczny jest nasz kraj. Sami utwierdzamy się w tym przekonaniu, porównując nasze schludne otoczenie do „dzikiego" Zachodu, któremu przestało już zależeć na porządku. Zaśmiecanie ulic traktujemy jak grzech wymierzony we wspólnotę. ▷

eprasa.pl 603965d7a6

Za to odmowa segregacji śmieci już nam tak bardzo nie przeszkadza. Recykling uważamy za mordęgę. Wystarczy posłuchać, jak przy butelkomatach ludzie utyskują, że „zrobiono z nas śmieciarzy". Tak jakby Polacy nie chcieli być w żaden sposób kojarzeni ze śmieciami. Może właśnie dlatego tak skrzętnie sprzątają po sobie w fast foodach – McDonaldy za granicą nawet nie dorównują naszym pod względem czystości.

Odnoszę wrażenie, że pragnienie uratowania czystej i pachnącej Polski jest też jedną z przyczyn niechęci do imigrantów, zwłaszcza pochodzących z kręgów kulturowych, których stosunek do porządku w przestrzeni publicznej jest diametralnie różny od naszego. Część osób uważa, że przybysze z Afryki czy Azji nie tylko „stwarzają ryzyko dla naszych kobiet", lecz także narażają na szwank nasze umiłowanie czystości. Nieprzypadkowo na hejterskich forach opisuje się ich jako „brudasów".

Na horyzoncie dostrzegam trzy prawdopodobne zagrożenia dla polskiego porządku. Po pierwsze, utrzymanie czystości kosztuje. W obliczu słabnącej koniunktury i pogarszającej się sytuacji gospodarczej (na tle dynamicznego wzrostu ostatnich lat) może to oznaczać zrzucanie coraz większych ciężarów na pracowników. Branża sprzątająca od lat uchodzi za wzorzec „optymalizacji", choćby za sprawą wypychania personelu na fikcyjne samozatrudnienie (notabene to cena za fetysz czystości, której wolimy nie widzieć).

Po drugie, w świetle pogłębiającego się kryzysu demograficznego, a jednocześnie rosnących aspiracji ekonomicznych Polaków, jedynym sposobem na posiadanie armii ludzi sprzątających będzie imigracja. To z kolei stoi w jawnej sprzeczności ze społecznym przekonaniem, zgodnie z którym przyjęcie imigrantów wiąże się z „importem" nieporządku. Po trzecie, nawet najlepiej zadbana infrastruktura z czasem się zużywa. Za kilkanaście lat drogi, dworce, szkoły czy galerie nie będą już wyglądać tak estetycznie i nowocześnie jak dziś. Można to zobaczyć np. w Niemczech, które przeszły wielką modernizację w latach 80. (landy zachodnie) i 90. (landy wschodnie). Wiele dróg, mostów i budynków publicznych wymaga tam gruntownej renowacji.

Trudno się dziwić Niemcom, którzy widzą w Polsce utracony raj. To my staliśmy się nowymi Niemcami. Nie tylko w wymiarze zewnętrznym, lecz także wewnętrznym. Żartobliwie można powiedzieć, że dziś furorę mogłaby zrobić w Europie „chemia z Polski". Doświadczenie sugeruje jednak, że takie sukcesy nie trwają wiecznie. ©℗

Autor jest publicystą, doktorem nauk ekonomicznych, adiunktem w Katedrze Stosunków Międzynarodowych UEK, członkiem Polskiej Sieci Ekonomii i ekspertem Centrum Analiz Klubu Jagiellońskiego

KOMUNIKAT

GN.II..6853.5.2026

Przemyśl, dnia 21 lipca 2026 r.

OGŁOSZENIE

Działając na podstawie **art.113 ust. 5, art. 114 ust. 3 i 4 w związku z art.124, 124a** ustawy z dnia 21 sierpnia 1997 r. **o gospodarce nieruchomościami** (tekst jednolity Dz. U. z 2026 r., poz. 399 z późn. zm.),

Starosta Przemyski
wykonujący zadanie z zakresu administracji rządowej

zawiadamia o zamiarze wszczęcia postępowania administracyjnego, zobowiązującego w drodze decyzji administracyjnej właściciela, współwłaścicieli lub osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do nieruchomości **o nieuregulowanym stanie prawnym,** położonej **w Kuńkowcach,** w gminie Przemyśl, w powiecie przemyskim, województwie podkarpackim, oznaczonej w operacie ewidencji gruntów i budynków jako **dz. nr 360/106 o pow. 1,50 ha** o użytkach: grunty zadrzewione i zakrzewione na użytkach rolnych Lzr-RIVa o pow. 0,40 ha, grunty orne R IIIb o pow. 0,35 ha, grunty orne R IVa o pow. 0,75 ha, stanowiącej według operatu ewidencji gruntów i budynków **własność Skarb Państwa w użytkowaniu Spółdzielni Rolniczo-Hodowlanej w Ostrowie,** do udostępnienia – **PGE Dystrybucja S.A z/s w Lublinie** powierzchni:

1) 140 m² w pasie budowlano montażowym zaznaczonym na załączniku graficznym przedłożonym do wniosku przez PGE Dystrybucja S.A z siedzibą w Lublinie kolorem niebieskim,

2) 23,3 m² w pasie technologicznym, zaznaczonym na załączniku graficznym przedłożonym do wniosku przez PGE Dystrybucja S.A z siedzibą w Lublinie kolorem czerwonym,

przez udzielenie zezwolenia na założenie i przeprowadzenie na wyżej wymienionej nieruchomości:

- **budowy elektroenergetycznej linii kablowej średniego napięcia SN (15kV),**

zgodnie **z treścią decyzji Wójta Gminy Przemyśl z dnia 17 października 2025 r. o znaku GP.6733.9.2025.MSZ,** ostatecznej z dniem 06.12.2025 r., **o ustaleniu lokalizacji inwestycji celu publicznego na terenie między innymi dz. nr 360/106 obręb Kuńkowce.**

W związku z powyższym, wzywa się osoby, którym przysługują prawa rzeczowe do w/w nieruchomości, aby w terminie 2 miesięcy od daty ukazania się niniejszego ogłoszenia w gazecie o zasięgu ogólnopolskim, na tablicy ogłoszeń Starostwa Powiatowego w Przemyślu Plac Dominikański 3, tablicy ogłoszeń Urzędu Gminy Przemyśl i Sołectwa Kuńkowce oraz w BIP Powiatu Przemyskiego tj. od dnia 24 lipca 2026 r. do dnia 24 września 2026 r. zgłosiły i udokumentowały te prawa w Starostwie Powiatowym w Przemyślu Pl. Dominikański 3, pokój nr 83, II Piętro, tel. 16 888-03-87. Niezgłoszenie się osób legitymujących się prawami rzeczowymi do w/w nieruchomości w podanym wyżej terminie skutkować będzie wszczęciem wyżej opisanego postępowania administracyjnego.

Mniej Więcej

Łukasz
Wilkowicz

Dług przekroczył 60 proc. PKB

Wiadomo było, że to nastąpi w tym roku. Stało się już w I kw. O czym mowa? O tym, że nasz dług publiczny (liczony zgodnie z metodyką UE) przekroczył 60 proc. PKB. Samo w sobie nie zmusza to rządu do żadnych radykalnych działań (inaczej byłoby, gdyby ten poziom przekroczył liczony po naszemu państwowy dług publiczny; ten wynosił w końcu marca 50,6 proc. PKB). Od marca 2025 r. dług liczony według standardów unijnych urósł nam o 4,6 pkt proc. PKB. Większy wzrost nastąpił tylko w Finlandii (o 5,5 pkt proc., do 89,7 proc. PKB) i Bułgarii (o 4,8 pkt proc., do 28,5 proc. PKB). ©℗

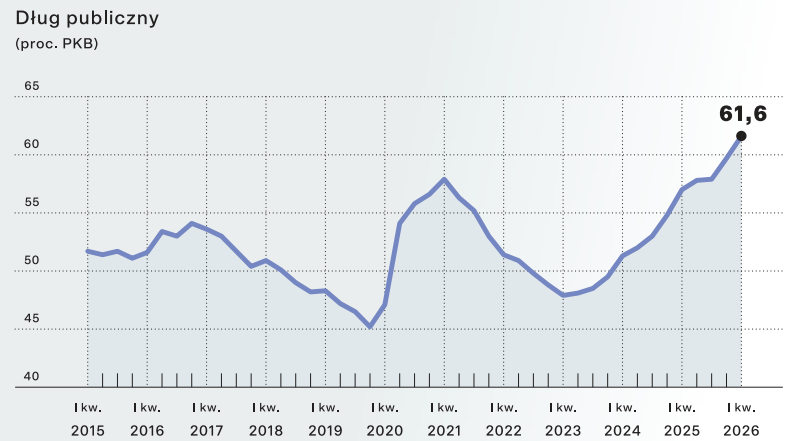

Źródło: Eurostat LR ©℗

Nie liczcie na wyższe odsetki w bankach

Krajowe banki przez cały czas są wręcz zalewane napływem depozytów. Konsumenci (choć dynamika płac stopniowo spowalnia, a popyt szybko rośnie) na koniec czerwca zgromadzili w postaci depozytów już ponad 1,5 bln zł. Wartość kredytów była niemal o połowę mniejsza (relacja zadłużenia do oszczędności ludności jeszcze nie była tak niska). Skala nadmiaru depozytów jest taka, że nie należy oczekiwać, by banki zmieniły strategię niskiego oprocentowania lokat (przy okazji pomaga im to w osiąganiu wysokich zysków). A przy okazji: na różnicy w wartości oszczędności i kredytów korzysta budżet, bo duża część przyjętych przez banki pieniędzy jest przeznaczana na zakupy papierów skarbowych. ©℗

Źródło: NBP LR ©℗

Modele AI popularne i niegroźne

NBP zapytał firmy, które ankietuje na potrzeby badania koniunktury, o wykorzystanie sztucznej inteligencji. W II kw. do korzystania z AI przyznało się 42 proc. ankietowanych. To trzy razy więcej niż zaledwie półtora roku wcześniej. Jak można się domyślać, odsetek korzystających z AI (nie precyzowano, co to oznacza) był wyraźnie wyższy w dużych przedsiębiorstwach (niemal 60 proc.) niż w małych (niecałe 30 proc.). „Dotychczas wpływ AI na zatrudnienie był minimalny – niespełna 1 proc. przedsiębiorców deklaruje, że zwiększenie skali wdrożenia sztucznej inteligencji umożliwiło redukcję etatów" – wskazał NBP. ©℗

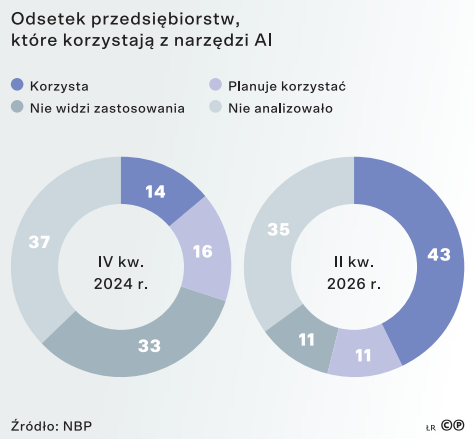

Źródło: NBP LR ©℗

eprasa.pl 603965d7a6

Kultura

Czy słoń jest z nami w pokoju?

Nawiedzenia antymemetyczną dziwnością nie mają u qntm charakteru metafizycznego – wręcz przeciwnie: chodzi tu o informację traktowaną materialistycznie, jako zespół obiektów zdolnych do fizycznego działania, jak również do ewoluowania i adaptacji

Piotr

Kofta

Metafora słonia w pokoju jest względnie oczywista dla każdego użytkownika języka polskiego. Odnosi się do faktów bądź zjawisk, których nie sposób nie zauważyć, a które są mimo to pomijane milczeniem jako wstydliwe, niewygodne, konfliktowe. Wyobraźcie sobie jednak sytuację odwrotną: słoń przebywa z wami w pokoju – od miesięcy, lat, dekad – ale nie wiecie o tym. Nie wiecie, bo słoń, sama idea słonia, potrafi kryć się przed waszymi spojrzeniami i manipulować waszą pamięcią. Jest antymemem: zasysa i dezintegruje informacje z otoczenia; nie daje też sygnałów o własnym istnieniu – ot, ludzie w jakimś miejscu bez jasnego powodu popadają w szaleństwo.

Epidemiologia memów

Taki jest z grubsza punkt wyjścia pomysłowej i błyskotliwej „Wojny niepamięci", powieści autorstwa qntm (pod tym pseudonimem występuje brytyjski pisarz i programista Sam Hughes). Powieści eklektycznej, bo łączącej w sobie dystopijną SF, wątki szpiegowskie i poetykę horroru. Oryginalny tytuł – „There Is No Antimemetics Division" („Wydział Antymemetyki nie istnieje") – daje nam znać o tym, że qntm wykorzystał także inny klasyczny motyw literatury popularnej: motyw tajemniczej, głęboko zakamuflowanej organizacji, która walczy o przetrwanie ludzkości. W „Wojnie niepamięci" Organizacja (przez duże „O") monitoruje epidemiologię memów.

Krótko o memach – choć kojarzą się potocznie z idiotycznymi obrazkami z sieci, za samym pojęciem memu stoi ciekawy koncept. Wprowadził je w latach 70. biolog ewolucyjny Richard Dawkins w swojej słynnej książce „Samolubny gen", rozważając inne teoretycznie możliwe, niebiologiczne replikatory. Mem byłby wedle tej koncepcji odpowiednikiem genu w procesie transmisji kulturowej, najmniejszą jednostką informacji przekazywanej pozagenetycznie. Memetyka, czyli nauka o memach, długo miała problem ze zdefiniowaniem, czym właściwie w praktyce badawczej mógłby być mem i jak w ogóle ujmować ewolucję kulturową, bazując na tym pomyśle. Naukowcy nigdy nie doszli do pełnego porozumienia w tej sprawie, ale obserwacja sposobów, w jakie rozprzestrzeniają się informacje (idee, symbole, obrazy) w internecie, zaważyła na tym, że obecnie za lepiej pasujący do opisu ekspansji i propagacji memów uważa się model epidemiologiczny. Współcześnie – jako użytkownicy mediów społecznościowych – znajdujemy się w zasadzie przez cały czas na froncie wojny memetycznej o nasze umysły.

„Zacznijmy od spraw prostych" – tłumaczy jednemu z dyrektorów Organizacji szefowa Wydziału Antymemetyki, Marie Quinn, jedna z najważniejszych postaci w powieści. – „[od] enigmatów w formie zwyczajnych potworów. Niestworzone księgi, nawiedzone syberyjskie laboratoria badawcze, nastolatki z paranormalnymi mocami, magiczne miecze wywołujące obłęd. Dopiero potem robi się ciekawie. Istnieją enigmaty o niebezpiecznych właściwościach memetycznych. Istnieją zaraźliwe koncepcje, które trzeba izolować dokładnie tak samo, jak zagrożenia fizyczne. Koncepty wiralowe. Kiedy dostaną się do głowy, rozprzestrzeniają się jak wirusy do innych umysłów. Stąd Wydział Memetyki. (...) Są również enigmaty o właściwościach antymemetycznych. (...) Idee nierozprzestrzenialne. Istoty i zjawiska, które żywią się informacją. W szczególności danymi o samych sobie. Jeśli ktoś zrobi takiej istocie zdjęcie Polaroidem, fotografia się nie wywoła. Jeśli ją odręcznie opisze na kartce, okaże się, że tekst to jakieś hieroglify, których nikt, włącznie z twórcą, nie rozumie. Można na taką istotę spojrzeć i, chociaż nie jest niewidzialna, to jednak jej nie widzieć. Sny, których się nie pamięta; tajemnicy, którymi nie można się podzielić. Kłamstwa. Żywe teorie spiskowe. To ekosystem konceptualny, gdzie jedne idee pożerają inne, a czasami... nawet cząstki rzeczywistości. Albo ludzi. To zaś sprawia, że stanowią zagrożenie. (...) Obiekty antymemetyczne są niebezpieczne i niezrozumiałe". Quinn musi to tłumaczyć dyrektorowi, bo z pewnych przyczyn nie przyjął on koniecznych farmaceutyków – owe „mnestyki" zapobiegają destrukcyjnemu działaniu enigmatów, pozwalają przynajmniej na jakiś czas nie zapominać. Dyrektor nie wziął tabletki i zapomniał, że istnieje Wydział Antymemetyki.

Rekonstrukcja wpisana w zawód

Trudno się pisze o sprawach, o których bohaterowie nieustająco zapominają: przypomina to nieco sytuację głównego bohatera filmu „Memento" (to jeden z pierwszych filmów Christophera Nolana), który cierpi na zaburzenia pamięci krótkoterminowej, a jednocześnie musi rozwiązać zagadkę pewnej zbrodni – nieustająco więc znajduje się w sytuacji, gdy musi od nowa ustalać, gdzie jest, co robi, jaki jest jego cel i kim są ludzie, z którymi rozmawia. Pomagają mu w tym notatki, zdjęcia i tatuaże wykonane podczas poprzednich (czy też może: kolejnych, bo narracja filmu cofa się w czasie) iteracji.

Qntm poradził sobie z tym pomysłem – jego książka ma fragmentaryczną budowę, składa się z relacji i dokumentów, których umiejscowienie w czasie i strukturze przyczynowo-skutkowej musimy jako czytelnicy samodzielnie ustalić. Nie wiadomo, od jak dawna ludzkość zmaga się z antymemami, ile było wcześniejszych Organizacji, a nawet: na czym konkretnie polega ta wojna. Pracownicy Wydziału Antymemetyki muszą nieustająco rekonstruować nie tylko losy Organizacji, lecz także własne biografie czy relacje rodzinne.

Nie można tej książce odmówić ekscentrycznego poczucia humoru – Quinn ma własnego, na wpół oswojonego, niewidzialnego potwora o kryptonimie E-4987, który chodzi za nią i konsumuje jej wspomnienia w czasie rzeczywistym. „Nauczyłam się z nim żyć. Jest jak egzotyczne zwierzę domowe. Tworzę dla niego smakowite wspomnienia, by nie zjadł czegoś naprawdę ważnego". E-5649 to „głęboka jaskinia w Chile, wypchana milionami metrów sześciennych żywej tkanki płucnej", E-0980 to z kolei „niemożliwy do zidentyfikowania chiński producent świadomych, mięsożernych lodówek". Jednak im głębiej wchodzimy w „Wojnę niepamięci", tym mocniej dociera do nas, że zbliżamy się do odkrycia jakiejś fundamentalnej, bezwzględnie przerażającej, nagiej prawdy o rzeczywistości. Tego rodzaju prawdy, od której ludzki mózg gotuje się i wybucha. Albo ulega zombifikacji.

Kosmiczny horror

Czym bowiem są antymemy, skoro nie można ich ani zrozumieć, ani zarejestrować, a przejawiają się – z ludzkiej perspektywy – albo jako agresywne emanacje dziwności, albo obiekty w ogóle niemożliwe do zauważenia (tylko zaawansowana neurofarmakologia pozwala na jakikolwiek kontakt zmysłowy – czy jednak bazujący na rzeczywistości, tego nie wiemy)? W fantastyce mamy przykłady podobnych eksperymentów myślowych: weźmy choćby „teorię nadistot" Adama Snerga Wiśniewskiego, zakładającą, że świadomość ma ewolucyjnie charakter hierarchiczny, podobnie jak wolna wola – skoro zatem są organizmy pod względem świadomości ulokowane niżej od nas, to dlaczego nie miałyby istnieć takie, które ulokowane są wyżej: nie potrafilibyśmy ich dojrzeć ani zrozumieć, podobnie jak mrówki nie potrafią dojrzeć ani zrozumieć nas (choć mogą nas percypować fragmentarycznie, choćby w postaci podeszwy buta rozdeptującego ich mrowisko), nawet gdy nimi chemicznie manipulujemy.

Nawiedzenia antymemetyczną dziwnością nie mają u qntm charakteru metafizycznego – wręcz przeciwnie: chodzi tu o informację traktowaną materialistycznie, jako zespół obiektów zdolnych do fizycznego działania, jak również do ewoluowania i adaptacji. Dlatego przywołanie Philipa Dicka, u którego dominowały pomysły gnostyckie (nasz świat jest obcy i wrogi, jest symulacją, zaświat jest prawdziwy, można go poznać tylko, odbierając transmisję wiedzy spoza znanej rzeczywistości), raczej tu nie pasuje. Rzeczywistym punktem odniesienia dla antymemetycznych intruzji z „Wojny niepamięci" jest zdecydowanie H.P. Lovecraft z jego koncepcją kosmicznego horroru, w którym człowiek zderza się z bytami dla niego niepojętymi – znany nam świat tworzy wedle tej koncepcji jedynie cienką powłokę nad niezmierzonymi przestrzeniami przedwiecznej grozy. Konfrontacja z tą grozą unieważnia momentalnie wszystko, co uważamy za elementy ładu społecznego i moralnego. Oczywiście uniwersum Lovecrafta jest do szpiku kości złe przez swoją krańcową obcość – dobro i miłość to w nim krótkotrwałe anomalie. Jeśli wczytać się w końcowe, apokaliptyczne fragmenty znakomitej „Wojny niepamięci", można zauważyć, że akurat z tym twierdzeniem qntm polemizuje. ©℗

qntm

„Wojna niepamięci",
przeł. Filip Sporczyk,
Muza, Warszawa 2026

eprasa.pl 603965d7a6

Nikt nie wierzył w tę muzykę

Nasz przekaz szokował, bo taka natura hip-hopu – nie owijasz w bawełnę, nie bawisz się w dyplomację, tylko mówisz, co cię boli

Z Piotrem „Vieniem”

Więcławskim

rozmawia Konrad Wojciechowski

FOT. PIOTR KAMIONKA/REPORTER

Piotr „Vienio” Więcławski – raper, wokalista, autor tekstów, jeden z liderów hiphopowej grupy Molesta Ewenement, która fetuje 30-lecie singlem „16 liter”

Cofnijmy się do momentu, kiedy chodziłeś do warszawskiej podstawówki i zacząłeś rapować ze starszymi kolegami. Jak to możliwe, że nie przeganiali małolata?

Interesowała mnie muzyka, ich też. Byliśmy inni. Nie nosiliśmy sweterków w serek ani wyprasowanych spodni, tylko koszulki z nadrukami punkowych i hardcore'owych kapel, podwinięte dżinsy i wysokie glany. Trudno było nie zauważyć w szkole kilku ancymonów, którzy mieli na sobie totalnie inne ciuchy. Człowiek widział w drugim człowieku brata, dobrego świra. Wielu z nas samodzielnie wydawało ziny i spotykało się na czadowych giełdach, aby kupić muzykę z drugiego obiegu. Spoiwem towarzyskim była też deskorolka. Patrzyliśmy z zazdrością na amerykańskich riderów ze skate'owych filmów, chłopaków w naszym wieku, jak fikali koziołki na czterech kółkach do muzyki hiphopowej. Też tak chcieliśmy. Deska nas zaczarowała.

Poczekaj, przecież ty na początku byłeś punkiem. Skąd się wziął ten rap – z pokoleniowego żalu, że urodziłeś się za późno, aby grać w Dezerterze czy Brygadzie Kryzys?

Z wypiekami na twarzy chodziłem na koncerty Brygady. Namiętnie słuchałem piosenek Roberta Brylewskiego i Tomka Lipińskiego. Do dziś mam wielki szacunek do tych ludzi za kozacką muzykę, zaangażowany przekaz i niezłomną postawę – oni nazywali nas, raperów, przedłużeniem punkowej kontestacji. Wielu moich rówieśników popłynęło z hiphopowym nurtem w naturalny sposób, bo oto pojawiła się atrakcyjna forma rytmiczna – fajne dźwięki, rapowany tekst; można wykrzyczeć, co ci leży na sercu. Połączenie wolności słowa i nowej estetyki totalnie odległej od tradycyjnej piosenki. Moi rodzice słuchali Beatlesów i Stonesów, Zauchy i Krawczyka, a ja z kolegami wybraliśmy rap, bo – tak jak punk – operował szczerym językiem i innym kodem kulturowym.

A to nie jest tak, że każdy młody chłopak, który chciałby mieć zespół, zaczyna od gitary albo bębnów?

Gitary dużo wtedy kosztowały. A ja byłem małolatem i nie miałem kasy. Poza tym gitara nie rozwiązywała problemu, tylko komplikowała całą sprawę. Uzbierasz na gitarę, ale potrzebujesz wzmacniacza. Kupisz wzmacniacz i co, będziesz w domu grał? Starzy cię zabiją, a jak nie starzy, to sąsiedzi. Musisz mieć salę prób, a sala kosztuje. Już pomijam to, że gitarę trzeba dźwigać. Perkusja – jeszcze gorzej. Bębniarze w zespole mają najciężej, muszą się nanosić (śmiech) Ja w końcu kupiłem gitarę – zbierałem na nią przez półtora roku. A jak już ją miałem, poczułem się jak himalaista, który wchodzi na sam czubek góry i sam się sobie dziwi: „Po cholerę tu wlazłem?”.

Chcesz mi powiedzieć, że zostałeś raperem z wygody?

Doceniam twoją ironię, ale to nie jest tak, że rapować może każdy. Wykrzykiwanie słów w formie recytacji to też sztuka. Nie każdy potrafi to zrobić w sposób przekonujący. Trzeba mieć odpowiedni tembr głosu, feeling, dobrze rymować i mieć coś ciekawego do powiedzenia.

Molesta kiełkowała u ciebie w domu, kiedy po szkole zamykaliście się w twoim pokoju i wymyślaliście teksty i sample. Rodzice próbowali cię sprowadzić na dobrą drogę? „Synu, to niepoważne. Zajmij się czymś pożytecznym” – mówili tak?

A powiedz mi, której matce podoba się, że jej syn chce zostać artystą?

Twoja była przeciwna?

Moja była troskliwa i przemawiała przez nią mądrość życiowa: „Boże święty, co ty robisz, idź do normalnej pracy!”. Mama się martwiła. Za hip-hopem stało wtedy wielkie nic. Ta muzyka nie miała przyszłości. I z czego będę miał emeryturę? Fajnie, miałem hobby, zainteresowania i chciałem się realizować na różnych obszarach. Ale artysta? Ten zawód to jednak wielka niewiadoma. Przebije się jeden na stu, a reszta łapie kiepskie fuchy i żyje bez grosza przy duszy. Ogromne ryzyko. Jeśli ktoś nie ma parcia na szkło, nie kocha sceny, to przygoda z muzyką może być marnowaniem czasu. Podsumowując – rodzice nie byli zachwyceni, że zostaję raperem.

Miałeś więcej talentu czy determinacji?

Te słoiki stały napełnione po równo. Chciałem coś zmienić w swoim życiu. Patrzyłeś dookoła na tę szarość, beznadzieję betonowych blokowisk i szukałeś sposobu, aby pokolorować sobie świat. Żeby to życie było nietuzinkowe. Co się wtedy robi? Zaczyna się rapować. Pierwszy album Molesty – „Skandal” – okazał się sukcesem. Kolejny – „Ewenement” – wydała duża firma fonograficzna. Aha, czyli ludziom się podoba. Zakiełkowała w nas odwaga.

Nie wszyscy uwierzyli w „Skandal” i Molestę. Wytwórnia SP Records, która pomogła zadebiutować na rynku innej znanej hiphopowej kapeli Wzgórze Ya-PA 3, nie miała ochoty inwestować w was pieniędzy. Zabolało?

Zapuszczaliśmy się w muzykę Krzesimira Dębskiego czy Henryka Debicha, studiowaliśmy soundtracki polskich filmów. Siadałem w domu z ołówkiem i opisywałem przesłuchiwane płyty – o, w tym numerze fajnie pracuje perkusja, a w tamtym słychać ciekawe pianinko

eprasa.pl 603965d7a6

Sam nie wiem, dlaczego Sławek Pietrzak (szef SP Records – red.) nie wydał naszego materiału. Nigdy z nim o tym nie rozmawiałem. Co by było, gdyby? Nie ma co gdybać. Nie ulega wątpliwości, że rap nie przez wszystkich i nie od razu był doceniany i hołubiony.

Bogna Świątkowska, która robiła pierwszą audycję o rapie w Radiu Kolor, też miała pod górkę. Grzegorz Brzozowicz, szef muzyczny rozgłośni, zdjął jej program z anteny. Wróciła pod presją słuchaczy, ale media miały – jak widać – duże opory, żeby promować rap.

Nikt nie wierzył w tę muzykę oprócz nas. Wiesz, jak to jest? Na początku wierzą ci, którzy wyznają pewną ideę, a dopiero potem ci, którzy mogą na niej zarobić. Jako pierwszy komercyjny sukces osiągnął Liroy. Otworzył nam drzwi, przetarł szlaki. I rap wszedł do mainstreamu. Wygrała świadomość słuchaczy albo chciwość wydawców. Obstawiam, że firmy fonograficzne poczuły zew grosza.

A za moment pojawili się na rynku Norbi czy K.A.S.A. z propozycją tanecznego pseudorapu. Ale to już było za daleko od ulicy i za blisko pieniędzy?

Do gry weszła telewizja – Viva czy 4 Fun TV – z programami na ten temat. Część raperów poszła w pop – tłukli komercyjne beaty, spoglądali na chłopaków z Ameryki i kiwali głową z przekonaniem: „No dobra, to my też weźmy popularną wokalistkę R&B albo soul, którą lubi radio, nas ludzie znają, więc zrobimy chwytliwą produkcję na zasadzie zsumowania sukcesów".

Molesta nie potrzebowała sukcesu? Przecież szukaliście chwytliwych sampli pożyczonych od amerykańskich idoli, także z jazzowego światka. Miało brzmieć nowojorsko, ale swojsko?

Muzyka hiphopowa jest oparta na cytatach z kanonu. Chcesz mieć rasowy werbel w kawałku i tłusty beat? Szukasz, szperasz, studiujesz. Gdzie? Choćby w archiwum muzycznym rodzimego jazzu – zapuszczaliśmy się w muzykę Krzesimira Dębskiego czy Henryka Debicha, studiowaliśmy soundtracki polskich filmów. Siadałem w domu z ołówkiem w ręku i opisywałem przesłuchiwane płyty – o, w tym numerze fajnie pracuje perkusja, a w tamtym słychać ciekawe pianinko. Z siatką płyt w garści przemierzałem pół Warszawy w drodze do DJ Volta, bo on miał sampler. I kleiliśmy tę muzykę po kawałku – tu taki rytm, tu takie tempo. Wszystko metodą prób i błędów.

Uchodziliście za radykalnych małolatów z półświatka. Fajnie rapują, a jak trzeba, dadzą po buzi.

Funkcjonowaliśmy na ulicy. Dzięki temu wiele rzeczy zobaczyłem na własne oczy. Dużo prawdziwych historii, w tym sporo tragedii. Kiwasz się po podwórku, więc znasz różnych ludzi – artystów i innych przedstawicieli nurtu ulicznego – co nie znaczy, że jesteś przestępcą i przemycasz narkotyki. Owszem, przesiadywaliśmy na ławkach, wystawaliśmy w bramach, ocieraliśmy się o miejskie legendy. To nas wychowało, spotęgowało i dało wielką inspirację.

Muzyka i rozróby chodziły ze sobą w parze, bo taki jest rap?

Narobiliśmy różnych głupot. Byliśmy młodzi. Człowiek dojrzewa, chce się zmierzyć ze swoją męskością. Zdarzały się zaczepki, bójki. Boże Święty, no kto się nie sprawdzał za małolata? Kto nie wkładał palców do kontaktu, żeby go popieścił prąd? Próbujesz ekstremalnych, czasem destrukcyjnych przygód, aby się czegoś o sobie dowiedzieć. A później masz refleksję i możesz o tym rapować.

W kawałku „Jeszcze jedno" pada zdanie: „dealowanie rąk nie brudzi". Nie wstydzisz się takich fraz po latach?

Absolutnie nie. Nie namawialiśmy nikogo do ostrego ćpania. Mieliśmy psychodeliczną indiańską jazdę, popalaliśmy trawkę. W Polsce to się nie podobało. Człowiek za posiadanie trawy dostawał taką karę, jakby heroinę rozprowadzał. W Ameryce prezydent Clinton palił, ale się nie zaciągał. To samo w Anglii. Beatlesi nie byli święci – śpiewali o LSD w kawałku „Lucy In The Sky With Diamonds". A u nas środowiska konserwatywne razem z Kościołem reagowały oburzeniem i świętobliwą bojaźnią.

Nie zapominaj o policji. Największym wrogu Molesty?

Denerwowali nas na każdym kroku. Usiadłeś na ławce na przystanku, to podchodzili z pytaniem: „A co tu robicie?". Siedzimy, nie widać? Co za kretyńskie uwagi... I na każdym kroku spisywanie. Polska policja musi się wykazać, najlepiej na małolatach, traktując ich jak wrogów publicznych. Sami to przeżyliśmy.

W latach 90. raperzy mówili głośno o tym, co myślą, i te słowa padały na podatny grunt. Wasza odwaga była spowodowana młodością, która nie kalkuluje, co wypada, a czego nie?

W tamtych czasach nasz przekaz szokował, bo taka natura hip-hopu. Nie owijasz w bawełnę, nie bawisz się w dyplomację, tylko mówisz, co cię boli. Muzyka wyrażana wprost – na tym polegała siła „Skandalu". Dzisiaj wszyscy mówią, co myślą, czasami bezmyślnie, ale mogą to robić, bo mają własne kanały komunikacyjne w internecie. Tylko co to za treść? Pokazywanie, jak się ludzie okładają po twarzy, jest polem do popisu dla patostreamerów, bohaterstwem dla zasięgów. Sensacja – ten rak serwisów społecznościowych – najlepiej się sprzedaje. Niestety, nie przynosi niczego pożytecznego.

I jak się odnajdujesz w obecnej rzeczywistości?

Nadal realizuję się artystycznie – piszę wiersze, tworzę kolaże, zacząłem pracę nad książką, wymyślam film fabularny. Wszystko zawdzięczam hip-hopowi. Ludzi, którzy pojawili się na mojej drodze, nie poznałbym, gdyby nie muzyka, gdyby nie rap. Zagrałem w kilku filmach, wystąpiłem w programach telewizyjnych. Czyli ta droga zawodowa nie była błędem.

Co się w tobie zmieniło przez te 30 lat?

Przestałem lubić festiwale, bo za głośno i za tłoczno. Sam gram zawodowo, więc za dużo decybeli bywa dolegliwe. I te gigantyczne przestrzenie z wielką liczbą ludzi. Jak wyjeżdżam na wakacje, uciekam od cywilizacji. Cenię sobie spokój. To chyba przychodzi z wiekiem.

Raper samotnik, a to ci heca!

Co roku podczas urodzin słyszę te same życzenia: „Piotrek, ty się nie zmieniaj". Charakter pozostaje ten sam, ale człowiek zmienia przyzwyczajenia albo hamuje się w szaleństwach. Wiesz, jadę na wakacje i potrafię liczyć uzbierane muszelki nad morzem albo rzucać kamieniami w wodę. Jak pięcioletnie dziecko [śmiech]

Na 20-lecie Molesty miała wyjść płyta, ale wyszła tylko piosenka „Teraz". A teraz mamy 30-lecie i na razie jeden singiel – „16 liter". Molesta znowu wróciła tylko na chwilę?

Planujemy serię singli. Nie wiem, czy uskłada się z tego album. Lepiej nie obiecywać. Czasy się zmieniły. Płyty już tak nie rozgrzewają słuchaczy. Większy sens ma wypuszczanie piosenki za piosenką niż wyczerpująca praca w studiu nad 15 piosenkami, które ludzie przesłuchają w ciągu trzech dni i zapytają: „Nagracie coś nowego?". Dziś mamy na rynku kilkadziesiąt premier dziennie. Trzeba to brać pod uwagę.

Czyli te przestoje płytowe nie wynikają ze wzajemnej niechęci członków Molesty? Nadal się lubicie? Nie ma między wami zatargów o pieniądze i dziewczyny?

Nic z tych rzeczy! Spotykamy się, jeździmy na koncerty, obchodzimy 30-lecie. To chyba dobrze o nas świadczy?

Tylko ten kawałek „16 liter" jest mocno retrospektywny. Kolejne też będą zapatrzone w przeszłość?

Nie idziemy w sentymentalizm. Mogę cię zapewnić, że drugi singiel będzie już zupełnie inny. To nie miejsce na oldschoolowe piosenki z festiwalu żołnierskiego. ©℗

eprasa.pl 603965d7a6

Historia

Chory na Polskę

Miał być historykiem sztuki i kontynuatorem rodowej tradycji. Tymczasem Historia przeznaczyła mu – tak jak tysiącom innych – zadanie przeprowadzenia polskiego dziedzictwa narodowego przez największą tragedię w dziejach

FOT. CAF-ARCHIWUM/PAP

Karol Rafał Estreicher (1906–1984)

Sebastian

Pawlina

Połowa czerwca 1940 r. nie była najspokojniejszym czasem dla Francji. Po przekroczeniu granicy armia niemiecka rozlała się we wszystkich kierunkach, zmuszając francuskie wojsko i ludność cywilną do ucieczki. Zamieszanie dopadło również polskie władze, które jesienią poprzedniego roku osiadły nad Loarą. W obliczu pancernych zagonów Adolfa Hitlera nie mogły tam dłużej zostać. Konieczna stała się ewakuacja. Później, już w Londynie, zaczną się rozliczenia i obgadywanie, kto uciekł pierwszy.

Z rozważań tych wyłączony będzie Karol Estreicher junior. Gdy inni pakowali walizki, on kombinował, jak przerzucić do Wielkiej Brytanii kilkadziesiąt skrzyń. Ich zawartość nie miała znaczenia dla przebiegu wojny, ale grała kapitalną rolę dla przyszłości Polski. Znajdowały się w nich bowiem zabytki polskiej kultury wywiezione we wrześniu 1939 r. z kraju i ewakuowane na Zachód. Ktoś powie, że to tylko przedmioty i w obliczu ogarniającego cały kontynent konfliktu zbrojnego nie należy się nimi przesadnie przejmować. Nie zatrzymają wroga ani nie uratują życia – przeciwnie, mogą przynieść śmierć swoim obrońcom. Estreicher wiedział jednak, że waga tych skrzyń nie liczy się w kilogramach, lecz w tożsamości, bez której trudno o naród.

21 maja zapisał w dzienniku, że „w Bibliotece Polskiej trzeba myśleć o cennym depozycie Biblii Pelplińskiej, Psałterzu Floriańskim, innych naszych rękopisach". „Co z tym zrobić? Położenie straszne! Gdzie to wywieźć? Jak zabezpieczyć?" – pytał sam siebie.

Dwa dni później wraz z całym zbiorem znalazł się w Angers, w siedzibie polskich władz na uchodźstwie. W kolejnych tygodniach przekonywał tam polityków, że sprawa wymaga natychmiastowego działania. Ponieważ nie otrzymywał od nich wystarczającego wsparcia, sam organizował, co tylko mógł. Z otrzymanych funduszy kupił m.in. ciężarówkę. Gdy w połowie czerwca sytuacja dojrzała do tego, aby ruszyć ze zbiorami, o pomoc poprosił samego gen. Władysława Sikorskiego, wodza naczelnego i premiera. Ten rzucił: „ratuj Pan sam, ja muszę ratować Rząd Rzeczypospolitej". Karol odparł więc „dobra" – i wziął się do pracy.

Wrastanie w polskość

Za życie Karola Estreichera juniora kilka lat temu wzięli się z kolei dwaj historycy – Tomasz Siewierski i Artur Wójcik. Efektem tego jest jego pierwsza kompletna biografia. Przede wszystkim porządkuje ona fakty z życia bohatera, pozwalając spojrzeć na niego z szerokiej perspektywy. Wcześniejsze opowieści są niekompletne i ograniczają się często zaledwie do wątku tużpowojennego, gdy rewindykował zabytki polskiej kultury, na czele z ołtarzem Wita Stwosza. W tych sensacyjnych narracjach odnajdujemy oczywiście sens jego życia – odpowiedzialność za polskie dziedzictwo narodowe – ale nie dowiadujemy się, skąd się to wszystko wzięło i ile dla niego znaczyło. Tracimy więc to, co w historii jako nauce najistotniejsze – zrozumienie procesu. Siewierski z Wójcikiem wypełniają tę lukę.

Karol Estreicher junior urodził się 4 marca 1906 r. w Krakowie. Życie w cieniu Wawelu i Kościoła Mariackiego wielu wystarczało do zbudowania więzi z Polską, nawet jeśli tylko wyimaginowaną, żyjącą w sferze marzeń, co jakiś czas pobudzanych nieudanymi powstaniami. Ale on miał coś jeszcze – bagaż rodzinny. Estreicherowie z Polską związali się w XVIII w. Jako pierwszy przybył tu urodzony w Igławie na Morawach Dominik Oesterreicher, syn bogatego mieszczanina, lekarza z wykształcenia, a poza tym właściciela kamienicy i browaru. Nie poszedł jednak w ślady ojca, ale zapoczątkował nową fascynację rodową – sztukę.

Pierwsze szlify zdobywał w Akademii Sztuk Pięknych w Wiedniu, skąd ruszył do Włoch, aby tam dalej rozwijać swoje umiejętności. W Rzymie poznał Hugona Kołłątaja, który w 1777 r. ściągnął go do Warszawy, gdzie po pewnym czasie został nadwornym malarzem Stanisława Augusta. Pięć lat później trafił do Krakowa, w którym został już na stałe. Pochowano go na Cmentarzu Rakowickim pod oryginalnym nazwiskiem, ale już jego syn przyjął spolszczony zapis – Estreicher.

Rodzina od początku związała się z Uniwersytetem Jagiellońskim, który za ich czasów nosił też inne nazwy, tj. Szkoła Główna Koronna i Szkoła Główna Krakowska, ale to już po rozbiorach, gdy korona była jedynie wspomnieniem. Gdy na początku XX w. Karol junior przechodził kolejne etapy edukacji, było oczywiste, że pewnego dnia i on trafi na najstarszy polski uniwersytet jako pracownik naukowy. Tak samo jasne było, że przypadnie mu w udziale dokończenie „Bibliografii polskiej", monumentalnego dzieła zapoczątkowanego w 1869 r. przez jego dziadka, Karola seniora, a kontynuowanego przez ojca, Stanisława.

Podróże kształcą

Żeby się dobrze przygotować do pracy – a zdecydował się zostać historykiem sztuki i muzealnikiem – musiał odbyć podróż do korzeni europejskiej cywilizacji. Znajomość najważniejszych zabytków kultury nie tylko była w dobrym tonie, lecz również otwierała nowe horyzonty. „Specjalnie chciałbym się zająć kwestią urządzenia zbiorów (muzeów), tj. tak zwaną muzeologią, stojącą we Włoszech bodaj najwyżej w Europie – która to część wiedzy jest w Polsce stosunkowo słabiej na razie rozwinięta" – pisał młody Estreicher w liście do przyjaciela.

W 1934 r. ruszył więc do Włoch, gdzie, być może nieświadomie, wędrując śladami Dominika Oesterreichera, chłonął architekturę, rzeźby, obrazy. Odwiedził Wenecję, Turyn, Palermo, Neapol, Florencję i Rzym, w którym pracował w Gallerie della Provincia di Roma. Nad Tybrem poznał m.in. Karolinę Lanckorońską i Tadeusza Romera, jednego z najważniejszych wówczas polskich dyplomatów. Jesienią tego samego roku podczas pobytu w Berlinie zawiązał z kolei bliższą znajomość z Aleksandrem Brücknerem, jednym z najwybitniejszych znawców polskiej kultury. Otrzymał od niego zaproszenie do współpracy przy „Encyklopedii staropolskiej".

Europejskie itinerarium Karola juniora było typowe. Na podobne wyjazdy w tamtym czasie decydowało się wielu, w tym architekci, malarze, historycy, historycy sztuki, muzealnicy, archeolodzy, pisarze. W 1933 r. dzięki Funduszowi Kultury Narodowej do Francji wyjechał

eprasa.pl 603965d7a6

Bohdan Korzeniewski (rocznik 1905), historyk teatru. Wybrał się, aby poszerzyć wiedzę i szukać nowych spojrzeń na to, czym się zajmował. Jak w reportażu o nim opublikowanym w tomie „Wytrąceni z milczenia" pisze Magdalena Grochowska, spotykał się tam przede wszystkim z ludźmi teatru, czyli Jeanem Giraudoux, Louisem Jouvetem, Jeanem Vilarem i Jeanem Cocteau. Po powrocie dostał angaż w Państwowym Instytucie Szkoły Teatralnej. Jeden z jego uczniów, Erwin Axer, cytowany przez Grochowską, opowiadał, że Bohdan „przyjechał doskonale przygotowany z teatru francuskiego. Spośród teoretyków jemu zawdzięczam najwięcej (...). Był ostry, ale myśmy go wielbili, bo mieliśmy poczucie, że jest jednym z najlepszych profesorów".

Wyjazdy takie jak te Estreichera i Korzeniewskiego zajmują ważne miejsce w biografiach ludzi polskiej kultury. Uwrażliwiały one ich na wspólne europejskie dziedzictwo, pozwalały doświadczyć tego, co wcześniej znali jedynie z książek i opowieści, dawały szansę na nawiązanie znajomości z innymi badaczami i twórcami, ale również – a może przede wszystkim – pozwalały zdobyć wiedzę i umiejętności, które później mogli wykorzystać w Polsce.

Na ratunek kulturze (i sobie)

Ten okres edukowania się i budowania własnej pozycji dobiegł nagle i brutalnie końca. Dramatem ludzi mających tworzyć polską kulturę i naukę w niepodległej Polsce było to, że wraz z utratą wolności musieli ruszyć im na ratunek. Nie budowali już, ale próbowali podtrzymać mury walącego się gmachu. Można się zastanowić, czy ich doświadczenie wojenne, doświadczenie ludzi około 40-letnich, było trudniejsze czy łatwiejsze od tego, które stało się udziałem 20-latków, zwanych Kolumbami. Adam Borkiewicz (rocznik 1896), autor pierwszej poważnej monografii powstania warszawskiego, stwierdził, że wojna była większym wyzwaniem psychologicznym dla ludzi, którzy żyli pod zaborami, niż dla tych, którzy urodzili się bez obcego bata nad głową.

Dla Karola Estreichera juniora i wielu innych z jego pokolenia ratunkiem był wyższy cel, który sobie stawiali. „Sprawa polska jest jedyną rzeczą, na której mi naprawdę zależy. A raczej nie; Niech powiem szczerze, to kultura polska na całym terytorium polskim jest najważniejszą dla mnie. Bo wiem, że istnieją narody bez terytorium, bez języka, bez państwa, ale nie przetrwają narody bez własnej kultury" – pisał w dzienniku 22 października 1939 r.

W kolejnych latach kilkakrotnie jeszcze zanotuje podobne zdania, stające się niemalże jego wyznaniem wiary. Po udaniu się do Francji szybko zdobył od gen. Władysława Sikorskiego pozwolenie na rozpoczęcie akcji ratowania zabytków polskiej kultury. Niewątpliwie pomogło mu w tym to, że wódz naczelny i premier w jednej osobie był bliskim przyjacielem rodziny Estreicherów, Karol nie był więc dla niego kimś nieznanym. Ale też Sikorskiemu na rękę było posiadanie kogoś takiego w swoim otoczeniu. Dzięki zapalczywości i uporowi młodego historyka sztuki mógł z czystym sumieniem nie zajmować sobie przesadnie głowy sprawami dziedzictwa narodowego – i tak miał o czym myśleć. Nie było więc niczym dziwnym, że 1 kwietnia 1940 r. Estreicher otrzymał nominację na kierownika Komisji Rejestracji i Rewindykacji Dóbr Kulturalnych w Biurze Informacji i Dokumentacji w Paryżu.

Po upadku Francji w Wielkiej Brytanii kontynuował prowadzenie prac komórki, która w 1942 r. zmieniła nazwę na Biuro (albo Referat) Rewindykacji Strat Kulturalnych. Zespół specjalistów, w tym historyków i historyków sztuki, prowadził swoje działania wielotorowo. Podstawą ich funkcjonowania było gromadzenie informacji o zrabowanych dziełach sztuki – obrazach, rzeźbach, książkach. Informacje pozyskiwano z prasy, dokumentów wytwarzanych przez Polskie Państwo Podziemne, ale też od... zagranicznych agentów. Ci w neutralnych krajach Europy, takich jak Szwecja czy Portugalia, monitorowali rynek antykwaryczny i szukali na nim obiektów zagrabionych z polskich zbiorów. Nadzorem obejmowano również Stany Zjednoczone, Argentynę, Brazylię, a nawet Chile.

Dużo uwagi poświęcono temu, jak dochodzić po wojnie zwrotu utraconych przedmiotów, a jeśli nie byłoby możliwe odzyskanie wszystkiego, to czego żądać w ramach zadośćuczynienia za poniesione straty. Osobno zajmowano się kompletowaniem listy osób odpowiedzialnych za rozkradanie polskiego dziedzictwa narodowego. Przez pięć lat zebrano 173 nazwiska podejrzanych o to osób.

Wszystko to razem sprawiało, że „u progu klęski Niemiec Polska była przygotowana do odzyskiwania swoich zabytków" – stwierdzają Siewierski z Wójcikiem.

Suma doświadczeń

Udział w procesie ratowania zabytków – a także kultury i nauki w szerokim znaczeniu – był w czasie wojny udziałem wielu, dla których obszary te były bliskie i którzy rozumieli ich znaczenie dla przyszłości państwa. To, co Estreicher robił na uchodźstwie, inni robili w kraju. Towarzyszyły im w tym łapanki, aresztowania, egzekucje, więzienia, obozy, getta. Niektórzy osobiście doświadczali tych fragmentów rzeczywistości skonstruowanej dla zgładzenia milionów. Ale nawet ci, którzy mieli tyle szczęścia, że ominęły ich te przeżycia, dotykali ich przez swoich bliskich. Każdy znał kogoś aresztowanego, zabitego, torturowanego.

Również Karol junior, choć z bezpiecznego oddalenia, przeżywał te koszmary. Jego ojciec znalazł się wśród krakowskich profesorów aresztowanych 6 listopada 1939 r. i osadzonych w obozie w Sachsenhausen. Informacje o tym dotarły do Francji i owładnęły myśleniem młodego Estreichera.

„Tragicznie zaczyna się ten rok. Wieść, że ojciec [jest] w niemieckim obozie koncentracyjnym nie pozwala mi normalnie żyć. Snuję się, nic nie robię, ciągle myślę o Nim. (...) Czuję, że upadek kultury polskiej, upadek i zniszczenie Uniwersytetu [Jagiellońskiego] zabiją go. Ani chwili nie wątpię, że nie przeżyje tam. To nie siły jego fizyczne, ale jego duch nie zniesie niewoli i poniżenia. Bardzo mi ciężko" – notował 1 stycznia 1940 r. Przeczucia go nie myliły. Stanisław Estreicher zmarł kilka dni wcześniej, 28 grudnia. Niespełna trzy miesiące później odeszła również jego żona, a matka Karola.

To, w czym przyszły obrońca narodowych skarbów widział zagrożenie dla życia ojca, było niebezpieczne dla całego kraju. Myśl tę po latach w znakomitym wspomnieniu zatytułowanym „Powrót" ujął Korzeniewski. Towarzyszyła mu ona już jesienią 1940 r., gdy wrócił do Warszawy po miesiącu zamknięcia w Auschwitz (wyszedł dzięki szybkiej reakcji doc. Juliana Pulikowskiego, muzykologa, który wykorzystał swoje kontakty w niemieckim środowisku akademickim). Widział wtedy siebie jako niewolnika dziedzictwa historycznego. Czuł, że ludzie oderwani od tego są bardziej wolni. Mimo to wiedział, że to jego postawa jest słuszna. „Narody, które niemal cudem wróciły do swoich przedwojennych siedzib cywilizacyjnych, aby wieść w nich życie wolne i dostatnie, zupełnie nie umieją docenić wyjątkowości swego losu. Zaczęły przerażająco przypominać Rzymian ze schyłkiem ich dziejów" – pisał. Z przekonaniem stwierdzał, że obrona m.in. kultury jest niezbędna dla uratowania narodu – biologicznie i historycznie. Karol junior zgodziłby się z nim zapewne bez wahania.

Czas decyzji

Koniec wojny i początek nowej, komunistycznej Polski stanowił dla części tych „niewolników dziedzictwa historycznego" kolejne wyzwanie, kolejne pytanie, na które musieli znaleźć odpowiedź. I trudno było przewidzieć, jaka decyzja okaże się najlepsza. Pomimo obaw, któe niosła ze sobą nowa władza, wielu postanowiło związać się z krajem. Sens ich decyzji odnajdujemy w rozmowie między dwoma znakomitymi historykami – Tadeuszem Manteufflem i młodszym od niego Aleksandrem Gieysztorem. Gdy ten drugi zastanawiał się, czy wejść do konspiracji antykomunistycznej, od starszego kolegi usłyszał, że będzie potrzebny na odradzającym się Uniwersytecie Warszawskim. Bo przecież ktoś musiał kształcić młodzież, która odbuduje kraj. Tak samo ktoś musiał leczyć, tworzyć muzea, pisać książki, rzeźbić czy reżyserować przedstawienia teatralne.

To ostatnie stało się nowym celem Korzeniewskiego, który postanowił z teoretyka stać się praktykiem. Jednym z najmocniej zapamiętanych przez niego przedstawień był „Grzech" Stefana Żeromskiego, który 27 maja 1951 r. wystawił w warszawskim Teatrze Kameralnym. Na widowni zasiadło wtedy całe Biuro Polityczne KC PZPR. Obecność najważniejszych osób w państwie wiązała się z licznymi utrudnieniami, wieloma absurdami i upokorzeniami. Ale najtrudniejsze przyszło między trzecim a czwartym aktem. Zachwyceni partyjniacy uznali, że osobiście złożą gratulacje artystom. Gdy ci wkroczyli do niewielkiej sali, zastali twarze znane z gazet. Większość przybrana w urzędowe uśmiechy. Korzeniewski i inni byli przedstawiani każdemu z osobna. Bohdan zapamiętał, że „nie wszystkie z wyciągniętych dłoni było łatwo przyjąć". Niektóre z nich unurzane były bowiem we krwi – i nie jest to zbędna metafora, ale fakt historyczny.

Niejedno z tego, co obciążyło sumienia Bolesława Bieruta i spółki, było wiadome już w 1945 r. A na pewno komuś tak mocno osadzonemu w polskich sferach rządowych w Londynie jak Karol junior. Rozumiał też, że jego wojenna historia po powrocie do kraju niekoniecznie musi być powodem do chwały, a z dużym prawdopodobieństwem może stać się przyczyną dramatu, w którym więzienie nie było najgorszym z możliwych scenariuszy. Ryzykował więc podwójnie – życie, ale też dobre imię. Komunistyczna propaganda mogła przecież zrobić z nim i jego dokonaniami, co tylko chciała.

A przecież mógł bez problemu zostać na Zachodzie. Miał swoje miejsce w Londynie, miał znajomości. Wiedział jednak, że tylko w Polsce, mając poparcie jej nowych władców, których uznały największe potęgi ówczesnego świata, będzie w stanie dokończyć misję powierzoną mu przez Władysława Sikorskiego. Nie ściągnąłby ołtarza Wita Stwosza do Krakowa, pracując z Londynu. Polska kultura wymagała obecności na miejscu. Praca zdalna nie wchodziła w grę.

Rdzeń istoty

Błędem byłoby uznanie, że Estreicher wrócił do kraju, kierując się wyłącznie rozumem. W jego podejściu do sprawy olbrzymie znaczenie odgrywały uczucia, którymi darzył narodowe skarby. Jego relacja z nimi pełna jest emocji. Tak jak wtedy, gdy trzeba było ewakuować niektóre z nich z Francji. 20 czerwca 1940 r. zostały one zniesione pod pokład węglowca „Chorzów". Tego samego dnia Karol junior zapisał w dzienniku, że „w małej luce pod pokładem, gdzie zwykle węgiel składają, złożono 74 paczek i skrzyń żelaznych ze skarbcem wawelskim. Na nich śpimy we trzech, Polkowski, Świerz i ja, pilnując rzeczy jak oka w głowie. «Szczerbiec» wyjęliśmy ze skrzyni, jedzie z nami. W razie czego podamy go tym, co siądą do szalupy. Co z nami będzie, Bóg raczy wiedzieć. Jestem zupełnie spokojny, ale nerwy moje odmawiają mi chwilami posłuszeństwa". Dwa dni później szczęśliwy notował, że gobeliny i skarbiec ocalały.

Estreicher całym swoim życiem zaświadczał, jak wiele miejsca w jego życiu zajmuje polska kultura. Nie tylko rozumiał ją i jej znaczenie dla budowania stabilnego państwa, lecz także czuł. Kilka lat po wojnie stan ten opisał inny z chorych na Polskę – Jan Parandowski. „Polska była i jest dla mnie zawsze nieodłączną częścią tej kultury, która ukształtowała nasz świat, i z dala od jej krajobrazu obcowałem zawsze z tym, co jest jej duszą. Wszędzie ją niosłem ze sobą, wszędzie była mi obecna. Polska jest rdzeniem mojej istoty, nie umiem myśleć inaczej jak przez nią...". Karol Estreicher junior też nie umiał. ©℗

Więcej tekstów tego autora: skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 603965d7a6

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Przyszłość to nie będzie dziś, tylko cokolwiek później

Joanna **Tyrowicz**

Cyprian Kamil Norwid pisał: „przeszłość jest to dziś tylko cokolwiek dalej". Z powodu demografii nie możemy tych słów odnieść też do przyszłości. Wydłużanie się trwania życia i obserwowana dzietność przełożą się na radykalną zmianę struktury populacji, a to przedefiniuje, jak rozumiemy społeczeństwo.

Nie żyliśmy jeszcze w takiej rzeczywistości i brak nam umiejętności tworzenia nowego zestawu narzędzi polityki gospodarczej. Co gorsza, nie mamy lekcji z przeszłości, a na dodatek metodą na pączkowanie stworzyliśmy sieć niekoniecznie logicznych powiązań między rozmaitymi politykami. Konwencjonalne podejścia do zarządzania publicznego w warunkach starzejącego się społeczeństwa będą niewystarczające, a konsekwencje zmian demograficznych nie docierają do nas jeszcze z kilku powodów.

Po pierwsze, nie doceniamy interakcji między zmianami demograficznymi a rynkiem pracy. Krzysztof Makarski (SGH i GRAPE), Sylwia Radomska (PAN i GRAPE) oraz wyżej podpisana pokazują w nowej klasie modeli równowagi ogólnej, że spora część spadku bezrobocia w ostatnich latach wynika ze starzenia się społeczeństw. Tradycyjnie starsi pracownicy rzadziej są bezrobotni (m.in. dlatego, że chroni ich kodeks pracy) niż najmłodsi uczestnicy rynku pracy. Rosnący udział osób starszych i malejący udział osób młodszych powodują, że zmieniają się warunki tworzenia miejsc pracy i pozyskiwania pracowników. W efekcie bezrobocie staje się nie tylko niższe, lecz także mniej podatne na wahania cykliczne. Społeczeństwa, w których dominują starsze roczniki, są skłonne kłaść większy nacisk na kontrolę inflacji niż na walkę z bezrobociem (stają się bardziej jastrzębie).

Po drugie, o ile niższe i mniej cykliczne bezrobocie to dobra wiadomość, o tyle dłuższe życie seniorów niesie mniej optymistyczne konsekwencje – w niedługim czasie wzrośnie ubóstwo emerytów. I nie ma tu znaczenia, czy patrzymy na poziom dochodów, czy na poziom konsumpcji: od Estonii po Rumunię większość osób starszych będzie żyła na poziomie poniżej progu ubóstwa. Na przykład w Czechach do 2080 r. nawet 80 proc. emerytów może być ubogich, jeśli chodzi o dochód, i ok. 50 proc. w zakresie konsumpcji. Taka skala ubóstwa zagraża stabilności fiskalnej i spójności społecznej, bo czy możliwe są demokratyczne społeczeństwa z dużą liczbą ubogich emerytów?

Czy odważymy się na fundamentalne zmiany o rozmachu Bismarcka i Beveridge'a? Bo nie ujedziemy na drobnych korektach

Po trzecie, wraz z wiekiem maleje nasza kreatywność i zdolność uczenia się. Dotąd na pomoc przychodził nam efekt Flynna: kolejne roczniki cechował współczynnik IQ wyższy niż u poprzedników. Ten efekt brał się nie tylko ze wzrostu wykształcenia, lecz także z poprawy jakości żywienia i większej skali stymulacji rozwojowej w dzieciństwie. Kłopot w tym, że nowe roczniki są coraz mniej liczne, zaś roczniki starsze pozostaną aktywne na rynku pracy znacznie dłużej. W efekcie łączna średnia produktywność może zacząć się obniżać: więcej starszych osób o niższym potencjale może przeważyć korzyści wynikające z napływu młodszych osób o wyższym IQ.

Kiedy w XIX i XX w. Bismarck i Beveridge tworzyli systemy emerytalne, demografia była taka, że mogli wyznaczyć jedynie ogólny kierunek. Konkretne parametry – np. wysokość składek, wiek emerytalny czy podatki – mogły być niedoskonałe. Dziś nie mamy takiego komfortu: trzeba precyzyjnie ustalić wiele konkretnych instrumentów. I z powodu systematycznie pogarszającej się demografii szansy na drugie podejście możemy już nie mieć.

Ale jest też dobra wiadomość. Nowe metody badawcze dostarczają precyzyjnych wskazówek na temat ukrytych kosztów i zmieniającej się dynamiki gospodarczej. Te badania co prawda pokazują ex ante, że dotychczasowe polityki oparte na dawnych narracjach przestają być funkcjonalne, ale też wskazują, co możemy zrobić, żeby podtrzymać bezpieczne funkcjonowanie naszych zróżnicowanych społeczeństw. Tylko czy odważymy się na fundamentalne zmiany o rozmachu Bismarcka i Beveridge'a? Bo nie ujedziemy na drobnych korektach. ©℗

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Słuchaj podcastu GRAPE | Tłoczone z danych „Skazane na emerytury minimalne?"

FOT. WOJTEK GÓRSKI

Między niebem a ziemią

Rafał **Woś**

Żyjący w V w. p.n.e. Sun Zi napisał, że na zwycięstwo wpływ mają ziemia oraz niebo. Ziemią chiński strateg nazywał te rzeczy, na które mamy wpływ; a niebo to dla niego to wszystko, co znajduje się poza naszą kontrolą. Nowa, ciekawa praca australijskich ekonomistów dowodzi, że w bieżącej polityce gospodarczej nieba jest dziś więcej niż kiedykolwiek.

Po II wojnie światowej w gospodarkach kapitalistycznych wytworzył się model na wskroś ziemski. Rządy i banki centralne nauczyły się reagować na zmienność cyklu koniunkturalnego w ten sposób, by go wygładzać. Zwiększone bezrobocie dało się naprawić obniżkami stóp procentowych i luźną polityką fiskalną. Gdy w konsekwencji nadchodziła zwiększona inflacja, stopy szły w górę, a wydatki rządowe cięto. Tak to działało aż do kryzysu roku 2008. I nie chodzi o to, że w gospodarkach zachodnich nie było wcześniej krachów. Były. Rzecz w tym, że establishmentowi udawało się nas utrzymywać w przekonaniu, że panuje on nad sytuacją.

Dziś świat jest inny. Trzymając się Sun Zi, jest on właśnie dużo bardziej niebiański. I właśnie to pokazują ekonomiści Kristin Forbes, Jongrim Ha i Ayhan Kose, związani z Krajowym Uniwersytetem w Sydney. Dowodzą, jak bardzo prawdziwe jest popularne przekonanie, w myśl którego o cyklach koniunkturalnych decydują globalne trendy handlowe i szoki geopolityczne.

Można to zobaczyć, rozkładając koniunkturę na kilka czynników: poziom stóp procentowych, inflację i produkcję krajową. Jeżeli teraz cofniemy się do lat 1970–1994 (do czasu sprzed znanego nam dziś etapu wolnorynkowej globalizacji), to zobaczymy następujący obrazek. Gdy chodzi o wpływ czynników zewnętrznych (jak np. cena ropy albo globalny popyt) na poziom stóp procentowych w kraju, to będzie on wynosił ok. 15 proc. Dziś – w trzeciej dekadzie XXI w. – wpływ samych niebiańskich czynników na poziom stóp sięga już ok. 50 proc. W przypadku inflacji ten wpływ wzrósł z 27 proc. do 35 proc. A gdy chodzi o produkcję krajową, to urósł z 22 proc. do 37 proc. W tym samym czasie spadł udział czynników wewnętrznych (ziemskich). Zmalał z 83 proc. do 50 proc., jeśli chodzi o poziom stóp procentowych, z 72 proc. do 65 proc. w przypadku inflacji oraz z 77 proc. do 63 proc. przy krajowej produkcji. Z analizy wynika także, że ta zmiana zachodzi gwałtownie. A lata 2020–2024 były tego trendu apogeum.

Niebo wypiera ziemię. Ale nie jest tak, że to, co się dzieje w lokalnej gospodarce, nie ma już żadnego znaczenia. Wiara w totalną kosmopolityzację byłaby grubą przesadą. Warto o tym pamiętać, słuchając sądów przeróżnych globalistów o nieuchronnym końcu konkretu lokalności. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność"

eprasa.pl 603965d7a6